NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 28 kwietnia 1917.** **Nr. 17.**

Największa w dziejach bitwa.



Wkroczenie przedniej straży wojsk angielskich do zupełnie zniszczonego miasta Bapaume.

Zmiana na stanowisku ministra wojny.

Reskryptem z dnia 8-go kwietnia b. r. przyjął cesarz Karol dymisyę austro-węgierskiego ministra wojny, jenerała-pułkownika barona Krobatina, wyrażając mu równocześnie szczególniejsze uznanie pochwalne za dotychczasową działalność i mianując równocześnie komendantem armii.

Następcą barona Krobatina na tak ważnem i odpowiedzialnem stanowisku został jenerał piechoty Stöger-Steiner v. Steinstätten.

Nowy minister wojny urodził w roku 1861 w Styryi. Po ukończeniu szkoły kadeckiej rozpoczął w roku 1880 służbę wojskową przy strzelcach, a następnie, po ukończeniu szkoły wojennej, przydzielony został do sztabu jeneralnego w randze kapitana. W roku 1907 został zamianowany komendantem pułku piechoty Nr. 74, w dwa lata później objął komendę 56 tej brygady piechoty, już jako jenerał major, w roku zaś 1912, przy równoczesnym awansie na marszałka polnego porucznika, komendę czwartej dywizyi piechoty. Na jej czele wyruszył jenerał Stöger Steiner po wybuchu wojny w pole i odegrał poważniejszą rolę zwłaszcza w walkach w południowem Królestwie Polskiem. — Z chwilą wmieszania się Włochów w wojnę światową, przeniesiony został wraz ze swym korpusem nad Soczę i tam pozostawał do ostatnich czasów.

Jenerał Stöger-Steiner przynosi ze sobą na nowe stanowisko bogate doświadczenie, znajomość spraw wojskowych i wybitny talent organizacyjny.



Z rewolucyi rosyjskiej: Barykady na ulicy Litiejnej w Petersburgu.



Zmiana na stanowisku ministra wojny: Jenerał piechoty, Rudolf Stöger-Steiner v Steinstätten, nowozamianowany austryacko-węgierski minister wojny.



Zmiana na stanowisku ministra wojny: Były austryacko-węgierski minister wojny, jenerał pułkownik, br. Krobatin.

Z rewolucyi rosyjskiej.

Wśród tylu niespodzianek, jakie zgotowała nam obecna wojna, jedną z największych i niewątpliwie najdonioślejszych w skutkach jest rewolucya rosyjska. W ciągu kilku dni zaledwie zmiotła ona wszechwładnego „samodzierżawnego“ cara i biurokracyę, a despotyczną Rosyę przekształciła *de facto* w republikę! O przebiegu tych epokowych wydarzeń, ciekawe i z pewnością autentyczne szczegóły podaje wychodząca w Moskwie „Gazeta Polska“.

Według tej relacyi pierwsze objawy zaburzeń rozpoczęły się w czwartek, dnia 8. marca, wieczorem. W niektórych dzielnicach Piotrogrodu ludność po kilkugodzinnem oczekiwaniu przed piekarniami nie otrzymała pieczywa. Wówczas oblegano piekarnie i wołano: „Chleba! Chleba!“, poczem demonstrowano po ulicach. Ze zmierzchem demonstranci, rozpędzeni przez policyę, rozeszli się do domów.

Na drugi dzień zaburzenia rozpoczęły się od samego rana i wkrótce przybrały groźny charakter. Na ulicach zjawiły się tłumy ludności, najtłumniej było na Newskim Prospekcie, gdzie demonstranci kroczyli z czerwonymi sztandarami. Policya i żandarmerya starały się przeszkodzić demonstracyom, lecz daremnie.

Około godziny dwunastej na placu przed dworcem Mikołajewskim zebrał się przeszło dziesięciotysięczny tłum. Przerwano ruch tramwajowy i urządzono wiec. Mowcy przemawiali ze stopni pomnika Aleksandra III. Wiec rozpędzili kozacy. Demonstranci przedostali się na Newski Prospekt, gdzie zjawiły się silne oddziały policyi i kozaków. Policya i kozacy użyli białej broni. Raniono kilkadziesiąt osób. Tłum udał się pod gmach rady miejskiej i wysłał deputacyę do prezydenta miasta, Leljanowa, z żądaniem, by wyszedł on do demonstrantów. Leljanow odmówił temu żądaniu. Kozacy rozpędzili tłum, a demonstranci rozeszli się powoli.

W nocy z 9. na 10. marca policya przedsięwzięła nadzwyczajne środki: na wielu gmachach umieszczono karabiny maszynowe, na ulicach zaś rozstawiono gęste patrole, a w niektórych miejscach wzmocniono kordony wojska. Dnia tego, oprócz kilku



Z rewolucyi rosyjskiej: Zrewoltowane wojska przed pałacem Taurydzkim. Na sztandarze napis: „Precz z monarchią! Niech żyje demokratyczna republika“.

drobnych starć, podczas których wojsko strzelało ślepymi nabojami, poważniejszych walk nie było. W dniu tym demonstracye poczęły przybierać charakter zorganizowany Wybrano specyalne komitety, do których przyłączyły się organizacye robotnicze, przeprowadzono wybory do rady delegatów robotniczych, mającej kierować ruchem. Wieczorem tego dnia na placu Kazańskim wojsko strzeliło na postrach w powietrze. Tłum rzucił się na ziemię. Wojsko strzelało do leżących, tym razem ostrymi nabojami. Ofiarą padło kilkadziesiąt osób, zabitych i ranionych.

W dniu 10. marca zebrany na posiedzeniu nadzwyczajnem Komitet seniorów, zapoznawszy się z rozkazem o rozpuszczeniu Dumy Państwowej, postanowił: Duma Państwowa nie ma się rozchodzić i wszyscy posłowie pozostać mają na miejscu.

W dniu 10. marca, około godziny pierwszej, delegacya 25 000 zrewoltowanych żołnierzy przybyła do Dumy Państwowej dla zaznajomienia się ze stanowiskiem, jakie zajęli przedstawiciele narodu.

Rodzianko zakomunikował delegacyi następującą, jednogłośnie przyjętą uchwałę Konwentu seniorów: „Hasłem zasadniczem chwili jest usunięcie władzy dawnej i zastąpienie jej przez nową. W urzeczywistnieniu tego Duma Państwowa weźmie jak najżywszy udział, ale przedewszystkiem są potrzebne porządek i spokój".

Jednocześnie prezes Dumy Państwowej wręczył delegacyi tekst depesz, wysłanych do cara, do kwatery głównej, do naczelnika sztabu, generała Aleksiejewa i do trzech wodzów frontów.

W dniu 11. marca, punktualnie o północy, zorganizował się ostatecznie Komitet Wykonawczy Dumy Państwowej, do którego weszli: Rodzianko, Kierenskij, Czcheidze, Szulgin, Milukow, Karaułow, Kono



Największa w dziejach bitwa: Ruiny wioski pod Arras, skąd cofnęły się wojska niemieckie.



Na pamiątkę proklamowania niepodległej Polski: Medal, wykonany przez prof. Raszkę, dla upamiętnienia obchodu dnia 5. Listopada w obozie Legionistów.

wałow, Dmitriukow, Rzewskij, Szydłowskij, Niekrasow i Lwow.

W niedzielę, 11., nastrój rewolucyjny tak dalece ogarnął stolicę państwa, że ostrożny i umiarkowany prezes Rodzianko wysłał wspomnianą wyżej depeszę do cara, zaznaczającą że położenie groźne jest dla dynastyi i jednocześnie zwrócił się do dowódców frontów, by prośbę jego o mianowanie nowego rządu poparli przed carem.

Drugą depeszę do cara wysłał Rodzianko nazajutrz w słowach jeszcze wyraźniejszych i natarczywszych, ruch bowiem przybrał już wyraźne kształty rewolucyjne Zrana zebrał się na posiedzenie nadzwyczajne Konwent seniorów i zapoznał się z podpisanym w dniu 10. w kwaterze głównej, a kontrasygnowanym przez ks. Golicyna, ukazem o rozpuszczeniu ciał prawodawczych. Izby miały być zwołane ponownie w terminie, zależnym od wypadków, nie późniejszym jednak, jak kwiecień b. r. Konwent seniorów po raz pierwszy wszedł na drogę nielegalną i postanowił, by posłowie się nie rozjeżdżali.

Tegoż dnia 12. marca, przybyli do Dumy zrewoltowani żołnierze. Powitali ich posłowie lewicowi Czcheidze, Kierenskij i Skobelew. Wojska te zastąpiły wartę Dumy. Była to niezawodnie ważna chwila w przebiegu wypadków: wysuwała na czoło Dumę Państwową i to ocaliło ruch od przybrania charakteru anarchistycznego.

O godzinie drugiej minut trzydzieści rozpoczęło się posiedzenie Dumy, na którem uchwalono utworzenie Tymczasowego Komitetu Wykonawczego dla utrzymania porządku w Piotrogrodzie i dla komunikowania się z instytucyami i osobami. Wybór Komitetu polecono Konwentowi seniorów. O północy Komitet wykonawczy został utworzony. Weszło do



Na pamiątkę proklamowania niepodległej Polski: Medal, wykonany przez prof. Raszkę, dla upamiętnienia obchodu dnia 5. Listopada w obozie Legionistów.

niego trzynastu posłów z rozmaitych stronnictw.

„Rada deputatów robotniczych" sformowała się w czasie tegoż poniedziałku z delegatów: robotników, zrewoltowanych oddziałów wojskowych, demokratycznych i socyalistycznych grup i partyi.

We wtorek rano ukazały się odezwy zarówno Rady deputatów robotniczych, jak i Komitetu wykonawczego Dumy. Ostatni, siłą rzeczy, wbrew początkowej skromnej dyrektywie, przeobraził się w istny Rząd tymczasowy, który objął kierownictwo wszystkiemi dykasteryami rządowemi.

Siły i znaczenia dodawały mu zgłaszające się wciąż nowe oddziały wojska, coraz częściej zjawiające się już w całym swym składzie, z całem swem dowództwem. Zapobieżenie dezorganizacyi armii stało się głównem zadaniem Komitetu. Potrzebę organizacyi, ładu i spokoju podkreślali wciąż w licznych przemówieniach do oddziałów wojskowych Rodzianko i Milukow.

Przyjmując pułk preobrażeński, który zjawił się z oficerami i komendantem w sali Katarzyny w Dumie, Rodzianko powiedział między innemi: „Bracia wasi walczą tam, w dalekich okopach, o wielkość i całość ojczyzny, i dumny jestem, że syn mój od początku wojny znajduje się w szeregach preobrażeńców. Ale, żebyście mogli pomódz sprawie zaprowadzenia ładu, czego się podjęła Duma Państwowa, nie powinniście być tłumem. Lepiej odemnie wiecie, że żołnierze nie mogą istnieć bez oficerów. Proszę więc ulegać i wierzyć waszym oficerom, jak my im wierzymy. Wracajcie spokojnie do koszar, żebyście mogli na pierwsze żądanie stawić się tam, gdzie będziecie potrzebni... Dawna władza nie może wyprowadzić Rosyi na należytą drogę. Pierwszem naszem zadaniem jest urządzenie nowej władzy, któ



Największa w dziejach bitwa: Ruiny i gruzy, pozostałe na miejscu dawnej osady, na terenie walk nad Sommą.



Największa w dziejach bitwa: Zasieki druciane przed pozycyami niemieckiemi pod Craonne

rejby wszyscy ufali i którąby mogła okryć chwałą naszą matkę, Rosyę".

W tej samej sali, poseł Milukow, przyjmując lejb-grenadyerów, powiedział między innemi: „Cóż trzeba zrobić dziś, żeby wziąć władzę w swoje ręce? Dlatego powinniśmy być przedewszystkiem zorganizowani, zgodni i podlegli jednej władzy. Władzą tą jest Tymczasowy Komitet Dumy Państwowej. — Jemu to, a nie zaś żadnej innej władzy ulegać należy, gdyż dwoistość władzy jest niebezpieczną i grozi nam rozdrobnieniem i rozpyleniem sił".

Usuwanie dawnej władzy, obsadzanie gmachów rządowych i aresztowanie różnych dygnitarzy, rozpoczęte w poniedziałek, 12. marca, trwało w dalszym ciągu, nie napotykając poważniejszego oporu. O godzinie pierwszej ks. Golicyn zawiadomił, że podał się do dymisyi wraz ze wszystkimi swymi kolegami.



Z frontów bojowych: Psi tren.

Około godziny czwartej zajęto admiralicyę, w której ukrywały się resztki dawnej władzy pod ochroną 3 rot pułku izmaiłowskiego, pewnej ilości artyleryi konnej i licznej jazdy.

W dniu 14. marca przewrót w Piotrogrodzie został zakończony, a wszyscy prawie ministrowie i inni dygnitarze dawnego rządu znaleźli się pod kluczem. Aresztowanych ministrów przewożono samochodami na razie do pawilonu ministeryalnego w pałacu Taurydzkim. U wrót pałacu stał minister sprawiedliwości rządu rewolucyjnego, adw. Kierenskij, który witał każdego ministra ukłonem i zawiadamiał go, że jest aresztowany. Wreszcie i car Mikołaj, który przedtem abdykował „dobrowolnie", został aresztowany i przewieziony do Carskiego Sioła, gdzie go wraz z carową internowano...

Wiosenny śnieg.

Pogoda w kwietniu bywa zwykle bardzo niezdecydowaną, jak to zresztą mówi stare polskie przysłowie: „kwiecień — plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata", ale tak obrzydliwej aury, jak w tym roku, nie mieliśmy już dawno. Miesiąc trwa już wiosna według kalendarza, nie widać jej jednak w przyrodzie, która pokryła się grubą warstwą śniegu, wprawdzie kwietniowego, więc niezbyt trwałego, ale w każdym razie wpływającego bardzo ujemnie na rozwój wszelkiej wegetacyi. Po inne lata zielono było w tym czasie na plantacyach, na przedmieściach i w sąsiednich gminach prace wiosenne rolnika i ogrodnika były prawie na ukończeniu, w roku bieżącym sterczą ku niebu nagie gałęzie bez krzty zieloności, w polach i ogrodach pusto i głucho... Prognoza na jesień niezbyt miła. Wskutek opóźnienia się wiosny ucierpiały bardzo ziemiopłody, a nikt przewidzieć nie może, jakie będzie lato, rolnicy więc dziś już bardzo pessymistycznie wyrażają się o jesiennych zbiorach.

Na pamiątkę proklamowania niepodległej Polski.

Znany artysta, prof. Raszka, który w czasie obecnej wojny wykonał szereg pamiątkowych prac medalierskich, związanych z obecną epoką dziejową i jej momentami, stworzył obecnie nowe dzieło: medal dla upamiętnienia proklamowania niepodległej Polski w obozie Legionistów. Reprodukcyę tego pamiątkowego medalu o wysokiej wartości artystycznej zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Największa w dziejach bitwa: Ziemianki wojsk niemieckich wśród lasu na zachodnim froncie



Największa w dziejach bitwa: Żołnierze niemieccy zajęci przy gaszeniu pożaru na zachodnim froncie.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

30

ROZDZIAŁ XVII.

— Panienko, a czemu to panienka nie świeci lampy?... Może nafty nima? Ja mam, to pożycę. — mówiła Dorulowa, wsuwając głowę do pogrążonego w ciemności pokoju Heli.

Od czasu owej przeprawy z adwokatem, traktowała młodą nauczycielkę, nie jak obcą, ale jak „swoją", specyalną troskliwość jej okazywała i za jej „poczciwość" i „ludzkość" zabić by się dała.

Źleby wyszedł na tem, ktoby w obecności Dorulowej jakieś złe, albo choćby tylko niedość pełne uznania słowo ośmielił się wyrzec o pannie Lidzińskiej.

— Dziękuję... — odpowiedziała Hela — Nie będę jeszcze zapalała lampy. Poleżę sobie w ciemności, bo mnie głowa boli...

— To może herbaty zgotować, abo ziółka jakie, na bolenie głowy pomocne?...

— Nie, nie potrzebuję nic. Spać będę.

— A to niech se panienka śpi.

Dorulowa zamknęła drzwi ze stukiem i odeszła. Hela rozpalone czoło przycisnęła do poduszki.

Za oknem poświstywał żałośnie wiatr, hulając po gałęziach drzew.

W sieni młody, dźwięczny głos zawiódł nagle szeroko.

„Oj! Moja dziewczyno,
Czemuś mnie nie chciała.
Teraz mnie zabiją,
Ty będzies płakała".

Hela wiedziała, że to śpiewa powołany do wojska młodszy brat Dorulowej, ale proste słowa piosenki zatargały dziewczyną tak silnie, jakby do niej były zwrócone.

Siadła na łóżku i twarz ukryła w dłoniach.

Za kilka dni Ludwik odjeżdża z Zalesinek, a za kilka tygodni może pojedzie do pola.

Odjedzie bez jednego dobrego słowa od niej, z żalem w sercu, z tem przekonaniem, że spotkał kobietę płytką i kapryśną, bezmyślną kokietkę, która go wabiła po to, by go odepchnąć!...

Przecież jej powiedział wyraźnie: „Omyliłem się na pani"... I jak ponuro patrzył wtedy. Takiego spojrzenia nie widziała jeszcze u niego nigdy.

Nie! Tego tak zostawić nie można!

Kornelia!... No tak, cóż znaczy Kornelia?! Czy on temu winien, czy może ona, Hela? Takie narzucone poświęcenie bezcelowe jest i głupie!...

To nad Kornelią lituje się, a dla niego nie ma współczucia!... Pozwoli mu odejść, pozwoli mu męczyć się i cierpieć!... Bo on cierpi, choć zęby zaciska i nie skarży się!...

Za dumny jest na to, żeby kwilić, jak sentymentalny amant, ale cierpi tem silniej!...

— Muszę się z nim zobaczyć! Niech się dzieje co chce. Powiem mu wszystko i niech on sam rozstrzyga!...

Hela zerwała się i gorączkowo zaczęła szukać zapałek na stole.

Drżącemi rękami zrzuciła jakąś książkę na podłogę, stłukła szklankę, ale wkońcu zapałki znalazła i zapaliła lampę.

W tejże chwili dało się słyszeć delikatne pukanie do drzwi.

W Heli zakołatało szybko serce. Może to on?...

— Proszę! — zawołała jakimś zmienionym, jakby zamierającym głosem.

Drzwi otwarły się. Hela ze zdziwieniem zobaczyła przed sobą starszą kobietę, czarno ubraną.

Z łagodnej, świeżej jeszcze twarzy spojrzały na dziewczynę jasne, serdeczne oczy Ludwika.

— Czy zastałam pannę Lidzińską?

— Tak jest, proszę pani! To ja nią jestem.

— A ja jestem Rażycka... Chciałam panią poznać. Słyszałam o pani tyle od Anielki Walczakowej i... od mego syna. Pani mi nie ma za złe tej mojej niespodziewanej wizyty, wszak prawda?...

Matka!... Więc to matka Ludwika ta kobieta ze słodkim uśmiechem i jego oczyma?...

Hela pospiesznie z rozbłysłym nagle na twarzy rumieńcem podsunęła Rażyckiej krzesło.

— Proszę, proszę bardzo. Pani zechce usiąść... Och. jakże się cieszę!...

Była rzeczywiście równie ucieszona, jak zdumiona.

Pani Rażycka przyjrzała się jej nieznacznie, ale badawczo i rzuciła wokół kilka dyskretnych, lecz zaciekawionych spojrzeń.

To, co zobaczyła, zadowoliło ją widać, bo w jej łagodnych oczach zamigotały ciepłe błyski.

— Niech pani powie szczerze. Dziwi panią to, że tutaj przyszłam?..

— Oczywiście, trochę! Nie wiedziałam wcale, że pani ma przyjechać! Ale przedewszystkiem cieszę się bardzo, że panią poznać mogę!...

— Widzę z pani oczu, że pani mówi prawdę! Dlatego i ja będę szczera. Wogóle nie lubię niczego obwijać w bawełnę...

Hela uśmiechnęła się. Ten rys charakteru odziedziczył widocznie syn.

— Czy domyśla się pani, dlaczego przyjechałam tak niespodzianie?

— Nie. proszę pani.

— Więc pani powiem... zaniepokoiły mnie listy Ludwisia...

Hela spuściła głowę, a pani Rażycka ciągnęła dalej, nie odwracając wzroku od twarzy dziewczyny.

— Niby nie pisał nic wyraźnie... Ale ja znam mojego syna. Wyczułam, że mu coś bardzo silnie dolega. A nietrudno mi było domyślić się, co... W poprzednich swoich listach wspominał o pani tak gorąco. Pani mnie rozumie, proszę powiedzieć szczerze?...

— Rozumiem. — szepnęła Hela.

— Widzi pani, całe moje szczęście, całe dobro na świecie — to moje dzieci. Inne matki marzą dla synów o świetnej karyerze, ale ja pragnę tylko, żeby Ludwik był szczęśliwym i żeby był dobrym człowiekiem.

Hela podniosła na nią oczy pełne uwielbienia i podziwu.

— Bodaj to mieć taką matkę!... — rzekła.

— Nie robię nic nadzwyczajnego, kocham poprostu moje dzieci i nauczyłam się odczuwać je i rozumieć. Proszę pani, sercem matki odgadłam, że mój chłopak cierpi. Dlatego zdecydowałam się na ten niezwykły krok, żeby zaradzić, jeżeli można. Czy można, panno Heleno? To od pani zależy...

Hela milczała wciąż z pochyloną głową.

— Anielka mówiła mi o pani tyle dobrego. Zresztą moje własne wrażenie... Wiem, że jesteś dzielną dziewczyną... Chyba nie należysz pani do tych, które przyrzekają, choć dotrzymać nie chcą.. Więc proszę, powiedz mi, czy możesz pocieszyć mojego chłopca?... Czy kochasz go?...

Przyciszonym, nieśmiałym dźwiękiem wybiegło to pytanie z ust matki Ludwika.

Hela spłoniona, zmieszana, drżąca, nic nie odpowiedziała.

Pani Rażycka serdecznym ruchem położyła dziewczynie rękę na ramieniu.

— Moje dziecko, mów szczerze, bez fałszywego wstydu. Jeżeli nie, to trudno, żalu mieć do ciebie nie będę. Miłości nakazać nie można. Powiedz, czy Ludwik jest ci obojętnym?...

— Nie!...

— A więc dlaczego męczysz siebie i jego, dlaczego marnujesz godziny, które szybko lecą? Ludwik odjedzie może wkrótce.

Łzy stłumiły głos matki Ludwika. Hela, nieprzepartym porywem serca wiedziona, usta swoje do ręki pani Rażyckiej przycisnęła.

— I ja cierpię, ale nie mogłam...

— Dlaczego?! Nie mówię, żebyście się odrazu pobierać mieli... Ja przynajmniej nie jestem zwolenniczką tych przyspieszonych wojennych małżeństw. Czemuż jednak nie wyznać sobie uczucia, jeżeli ono istnieje?

— Nie mogłam...

— Dlaczego?... Czy Ludwiś obraził się czem może, rozgniewał? On lekkomyślny czasem i porywczy. Ale serce ma złote. Jeżeli zawinił, wybacz mu. Wierzaj mi, kobiety dużo muszą i powinny wybaczać...

— Nie, on nic nie zawinił!...

— Więc cóż? Czy może nie jesteś wolna?...

— Jestem wolna...

— Zatem... jakaż przyczyna?!...

— Powiem pani, powiem szczerze wszystko, jak jest... Ja się dowiedziałam, że jest jedna kobieta bardzo biedna, bardzo nieszczęśliwa, która syna pani kocha szalenie, choć beznadziejnie. I zlękłam się. że mogę przejść po jej trupie i zatrzymałam się, powiedziałam sobie: nie!...

— Czy Ludwiś łudził tę kobietę kiedykolwiek? — zapytała pani Rażycka z jakąś trwogą w głosie — Widzisz, moje dziecko, mężczyźni...

— Ach, nie!... Ona zbyt upośledzona od natury, choć dobra, zacna, rozumna... To moja przyjaciółka i dlatego...

— Aha!...

Pani Rażycka wiedziała już, o kogo chodzi.

— To Kornelia Witowtówna, nieprawdaż?...

— Proszę pani, ja na to odpowiedzieć nie mogę, bo to moja tajemnica...

— A jeżeli ja tej tajemnicy dawno domyśliłam się? To jest, przynajmniej zdawało mi się, że się domyślam... Bo, moja droga panno Heleno, my chyba myliłyśmy się obie. W każdym razie po części...

— O nie! Ja się nie myliłam! Niepodobna było się omylić!...

— A jednak... Kornelia wyszła zamąż!

Hela zerwała się z krzesła i z bezgranicznem zdumieniem spojrzała w twarz pani Rażyckiej.

— Co?!... Kornelia wyszła za mąż?!

— Tak jest. Byłam równie zdumiona...

— Kiedy?! Za kogo?!

— We wczorajszych dziennikach była wiadomość o jej ślubie z panem Stefanem Rogoziewiczem z M.

— Ale skądże tak nagle? Co to za jeden?!

— Nie wiem. Pytałam panią Łuskowską, bo Kornelia żyła z nią dobrze, ale i ona była zaskoczona tą niespodzianką. Mogła mi tylko tyle powiedzieć, że to jakiś inwalida, wdowiec z kilkorgiem dzieci. Po ślubie państwo młodzi wyjechali zaraz z Krakowa...

— Biedna Kornelka! Ona mnie przejrzała i chciała mi się usunąć...

Pani Rażycka zadumała się.

— Może tak, może nie... Może poprostu zmęczona była swojem życiem dotychczasowem, chciała mieć męża, dom, rodzinę. No i skorzystała z pierwszej zapewne sposobności, jaka się jej nadarzyła...

— Oby tylko była szczęśliwą. Zasługuje na to. Taka zacna, taka dzielna...

— I ja jej tego życzę z całego serca. Lubiłam bardzo Kornelię. Panno Helu, ale teraz... teraz to, co miało was rozdzielić, usunięte... Czy mam co powiedzieć Ludwikowi?...

Twarz dziewczyny zapłonęła różową łuną rumieńca. Unikając wzroku matki Ludwika, Hela szepnęła:

— Proszę... proszę mu powiedzieć, że jabym bardzo pragnęła zobaczyć się z nim...

— — — — — — — — — — — — — — —

Z łagodną senną powolnością prowincyonalną toczyła się po nierównym bruku dorożka, wioząca Rogoziewicza i jego młodą żonę.

Dorożkarz wiózł ich dosyć długo przez ciche, uśpione ulice małomiejskie, aż wkońcu zatrzymał się już trochę poza miastem, przed piętrowym, biało tynkowanym, sztachetami ogrodzonym domem.

W mglistem powietrzu czarne, nagie gałęzie drzew rysowały się niewyraźnie i jakoś bardzo smutnie.

Naftowa latarnia przed domem świeciła mdłym blaskiem, wokół lampy tworzyły się migotliwe, tęczowe koliska.

— Jesteśmy w domu — rzekł Rogoziewicz. Wysiedli.

Z ciekawością i zarazem z jakimś lękiem spojrzała Kornelia na ten dom, który miał być odtąd jej przystanią życiową.

W jednem z okien świeciło się jeszcze.

— Cóż to? W pokoju jadalnym świeci się jeszcze? Widocznie dzieci nie śpią!

— O tak późnej godzinie? — zdziwiła się Kornelia.

— No, tak, naturalnie, Marcysia nie dopilnowała... To nicpoń dziewczyna! Będziesz z nią miała dosyć kłopotu, a najlepiej, odpraw odrazu!

— Już ja sobie poradzę — upewniała go z lekkim uśmiechem Kornelia — a w tym wypadku dobrze, że dzieci nie śpią jeszcze. Będę się mogła zaraz z niemi zapoznać.

Otworzyła im drzwi zaspana, rozczochrana, bosa służąca, w niedopiętym, brudnym kaftanie i krzywo zawiązanej spódnicy.

Robiła wrażenie zupełnie skończonego w swoim rodzaju typu tak zwanego „kocmołucha".

Ze zdziwieniem spojrzała, przyświecając kuchenną lampką z okopconem i ubitem u góry szkłem, na wchodzącą z jej panem kobietę.

— To moja żona, Marcysiu! — rzekł krótko Rogoziewicz — Jutro oddasz pani klucze i będziesz się we wszystkiem stosowała do jej rozkazów.

W tłustej, podziobanej śladami ospy twarzy dziewczyny małe, bure oczy błysnęły urągliwem, niechętnem zdumieniem.

Pochyliła się jednak do ręki Kornelii.

— Postaw lampkę — mówił dalej Rogoziewicz — i poznoś rzeczy z dorożki. Zdejm okrycie, Kornelko, albo lepiej nie, rozbierzesz się w pokoju. Brr! Tutaj zimno... i wszystko ma taki zaniedbany wygląd, ale któż miał czuwać nad tem...

Rzeczywiście już w przedpokoju można było zaobserwować brak wszelkiej staranności o czystość i porządek. Wieszadło na rzeczy przekrzywiło się,

bo jeden gwóźdź wypadł ze ściany — lustro było pęknięte, na podłodze śmieci, na suficie pajęczyny...

Powietrze było duszne. Miało ten przykry, niezdrowy zaduch, właściwy mieszkaniom, niestarannie sprzątanym i źle przewietrzanym.

Marcysia znosiła do przedpokoju walizy, mrucząc coś niechętnie pod nosem. Nie wyglądała wcale na zadowoloną.

Kornelia spostrzegła to natychmiast.

— Pierwsza istota, dla której przybycie moje jest zbyteczne i niepożądane — pomyślała.

— Tatuś, tatuś przyjechał! — zadzwoniły nagle radośnie dwa dźwięczne głosy dziecinne

Na twarz Rogoziewicza padł nagle jakby promień słońca.

— Jestem dzieciaki! — zawołał — Chodź do dzieci! Chodźmy...

— Zaraz... tylko wyjmę podarunki.

— Co tam podarunki! Naprzód je zobacz, pociechy moje i one niech poznają swoją mamę!...

Pierwszy wbiegł niemal do oświetlonego pokoju, za nim, nieśmiało trochę, z bijącem sercem wsunęła się Kornelia.

— Jak się macie, dzieciarnia?! A dlaczego bębny nie śpią, co?

— Tatuś... tatuś! A co nam tatuś przywiózł?!

— Cio nam tatuś psiwióz?

— Przywiózłem wam coś najlepszego dzieci!... Przywiozłem wam mamę... Widzicie, to jest wasza nowa mama!... Będziecie ją kochać, prawda?

Z uśmiechem wskazywał na Kornelię, która w porywie szczerego uczucia przygarnęła do siebie najstarszą dziewczynkę i gorąco ją ucałowała.

Dzieci, pomimo zaniedbania w ubraniu, wydały się jej prześliczne, zachwycające, daleko ładniejsze, niż na fotografii.

Serdecznie zapragnęła, aby ją pokochały.

— Chcecie, żebym była waszą mamą? Będę was kochała bardzo, bardzo...

Ale Stefcia energicznie i szybko uwolniła się z jej objęć i usunęła się pod ścianę.

Delikatna, nad wiek poważna twarzyczka przybrała jakiś zagadkowy, nieprzenikniony wyraz. — Tylko w głębiach ciemnych, żywych i intelligencyą tryskających źrenic zamigotały jakieś niedobre ogniki, jakby szyderskie, czy wrogie.

Kiedy Kornelia schyliła się, aby wziąć w ramiona śliczne, jasnowłose, różowe bobo — dziecko uderzyło nagle w gwałtowny płacz.

Drobnemi rączkami uchwyciło się kurczowo nogi ojca i wrzeszczało co sił:

— Nie cie, nie cie! Zosia się boi... To nie mama, to bzidka pani!...

Starszy od niej o rok braciszek, także piąstki do oczu przyłożył, płaczem głośnym wybuchnął i zaczął wołać, tupiąc nóżkami:

— To nie nasza mama! Mama była, jak aniołek na obrazku! To brzydka pani! Ja nie chcę takiej mamy!...

Stefcia nie odzywała się wcale. Stała tylko wciąż pod ścianą, jak mały sfinks i spoglądała na macochę zimnym, odpychającym wzrokiem.

Rogoziewicz zmieszał się, nie wiedział, co począć, co powiedzieć.

Bezradnie spojrzał na Kornelię, która nagle cofnęła się o kilka kroków i wsparła się ręką na poręczy krzesła.

Była bardzo blada. Usiłowała uśmiechnąć się, przemówić coś, obrócić to wszystko w żart, ale czuła, że, zamiast uśmiechać się, krzywi się tylko, a słowo żadne nie chce przejść przez gardło.

Nie chcą jej! Nie chcą te słodkie dzieci takiej brzydkiej mamy!...

Znowu zbyteczna i odepchnięta!...

Nie mogła zapanować nad sobą. Gorzkie, palące łzy wytrysły jej z pod powiek.

Rogoziewicz szybko odsunął dzieci, podszedł do żony i serdecznym ruchem ujął jej rękę.

— Nie płacz! Nie zniechęcaj się i nie trać do nich serca! Wszak to dzieci... małe dzieci! Kochaj je, bądź dla nich dobrą, a, wierzaj mi, i one cię pokochają...

KONIEC

Konrad Henryczewski

Staszek Roj

Nowela

Pani Wandzie J... poświęca
Autor.

Nad Tatrami panowała cisza potężna, urocza, poetyczna.

I nie słychać było ni gwizdu szalonego świstaków, ni szumu skrzydeł przelatującego orła czy jastrzębia, ni pluskania pstrągów w Kościelskiej do linie.

A spiący rycerze podniebni czuwali, podobni do prawdziwych, groźni, poważni. Zdaleka tylko słychać było szelest spadającego strumyka, lub huk potężnej Siklawy, czy Siklawicy — mruczały, niby ten niedźwiedź, ukrywający się w nieprzepartych reglach podhalańskich, niby ten ryś, dziko skaczący po ostrych konarach.

A tylko ponad lodowymi stokami gór wył wicher skalny, głosząc potęgę zaklętej mocy, głosząc piękno i dzikość podniebych turni i wyśpiewując im hymn pochwalny pod niebios błękitne lazury.

A wtedy, w takiej chwili, wyszło z powagą kroczące — słońce, jak matka, która swem tchnieniem utrzymuje przy życiu swe dzieci — wielkie promieniste słońce.

Krwawo zabłysło najpierw na sinych graniach, przebiło mgły, okalające nagie szczyty i ozłociło wierzchołki gibkich sosen i smreków rozłożystych.

I otrząsnęły się z nocnego snu igiełki zielone drzew i wyciągnęły się na boki, rozkoszując cie płem matki — słońca i pochyliły się w ukłonie, pełnym czci dla tej, co im pomaga do życia na tej cudnej, szerokiej ziemi. I wszędzie ozwało się życie.

Na halach ukazały się wypędzone barany i czarnymi swymi i białymi kudłami ubarwiły jednostajną zieleń dalekich pastwisk. Równocześnie ozwał się ryk bydła i biało żółte, biało-czarne, grube plamy zmieszały się z poprzedniemi.

Krajobraz odżył, oddychał pełną piersią.

Juhasi rozeszli się za bydłem po skałach, a dziewki ulotniły się w lasach za jagodami. Na halach ostali się jeno bacowie, którzy obsiedli wokół dymiącą, smrodliwą watrę i grzali przy niej skostniałe od nocnego zimna członki. I radzili, jakby też to najdrożej przedać serki owcze wędzone i mleko.

— — — — — — — — — — — — —

Z jednego szałasu, stojącego na uboczu, wyszedł młody juhas. Zwał się Staszek Roj.

Piękny był, że aż łuna odeń biła. Gdzie rzucił wzrokiem, drżało wszystko przed nim. Dziewki lgnęły do niego, jak niedźwiedź do miodu i — był kochany.

Pochodził ze Zakopanego, ze Skibówek.

Nie „płony" to był gazda, a jeno z miłości ku Tatrom szedł w lecie „ku halom". W domu, gdyby ostał, miałby co jeść, bo zamożny był.

Ale jego tu ciągnęła namiętna, nieprzeparta miłość gór.

Na nic się nie zdały dziewkom wdzięczenia, na nic chichoty, bo on żadnej nie kochał, on kochał tylko — Tatry.

Czasem, gdy poszedł w poniedziałek w góry, wracał w niedzielę. A gdy go pytali gazdowie:

— Kaześ chadzał Stasku?

Mówił im:

— Byłek w gościnie u mej baby.

— A wtoraz to? — pytali.

— Ady hańta, poźryjcie. — wskazywał długi łuk śnieżnych Tatr.

— Kosyste?

— Haj, ze ba jakoz?

I kiwali głowami i dawali mu pokój, bo, gdyby mu „weszli na honor", jak mówił, byłby ich „ciupazkom porombał, co hej!"

I mówili między sobą:

— Ot, Stasek waryok.

I przylgnęło to słowo do niego i nie opuściło go już nigdy.

Gdy była zima, a śnieg gęsto okrył Podhale, siadywał na ławie i pykał z fajki i śmiał się do Tatr i kiwał im głową.

W Zakopanem czuł się nie swój, dopiero, kiedy w Tatrach był — odżywał.

Skakał z turni na turnię, jak kozica i pogwizdywał i pokrzykiwał. A napotkał gdzie jaką polankę, zaraz palił ognisko „piukł grule i jod som, somiutki, somiuteniki".

I dobrze mu z tem było.

A, gdy sobie podjadł, tańczył po zbójnicku, z siekierką w ręce:

„Hej, idem w las — piórko się mi migoce!
Hej, idem w las — dudni ziemia, kie krocę!
Ka wywinem ciupazeckom krew cerwoną wytocę!
Ka obyrtnem sikireckom — krew mi z pod nóg bulgoce!"

U, ha! U, ha!

A tysiączne echo odpowiedziało mu: U, ha! U, ha!

Tak rozmawiał z Tatrami.

I znał je na wylot.

Bywało, że czasem przyjeżdżali „panowie" nad „Morskie" i chcieli iść na Rysy.

I pytali o przewodnika. Tedy im mówili gazdowie:

— Niwtory was poprowadzi, ino Stasek Roj!

I szli z nim, a on im prawił o tych Tatrach, które tak całą duszą, całem swem ludzkiem sercem ukochał, o tych wodnych bogach, o rusałkach leśnych, co to „bez mgły beskurcye tak rzną, co raty!"

Ale nie tylko Tatry on kochał, lecz także całą tatrzańską, boską naturę.

„Ozniósł-byk tyk psiajuchów, co to bez te wyciecki, kie łazić nie umiejom, dla ścizek lasy wyrombujom!"

Był do nich ślepo przywiązany, jak „oreł do swego gniazda, jak świstak do swego wirchu".

I tak mu szło życie.

Do kościoła nie „chadzał" nigdy, „bo coz mi tam Pon Bóg? Bogiem mi moje skalicki, kościołem stawecki" — mawiał.

A rękę miał wprawną, jak nikt na Podhalu. „Kie wantom prasnon, to sze wyrkneno, a, kie jom wyzucił z popod Cornego psy Morskim, to aze popod Siklawę wyrznena, aze rombeno!"

A i na gęślickach dziewkom grywał, jako nikt po nim juz, a przed nim tylko Maciek Sieczka tak grywał.

I cóż im on mógł grać? On, nieuczony, niewyćwiczony muzyk natury?

Ano grał im swe życie.

Grał im, jako się drapał na turnie, na skały i wyręby po różne ziela dla Maruszyny znachorki z Kościelisk, grał im, jako wyje wicher halny, jako świszczą świstaki, a mruczą niedźwiedzie. Wygrywał naturę Tatr.

I w grze jego słyszeli olśnieni słuchacze huk spadającej Siklawy, sunących po brzegach przepaści odłamów skalnych, plusk jezior i stawów i szum smreków i gwizd i piorun burz górskich i ćwierkanie drozdów i wróbli i kawek.

Wygrywał wszystko, co tylko słyszał, co go otaczało w Tatrach.

I tak wiódł życie Staszek Roj, muzyk, taternik.

Lecz przyszedł kres.

Przyszła wojna, a z nią kres tego życia w Tatrach.

Musiał iść walczyć, bo mu tak kazano. On bić się nie chciał, on nie uznawał celu tej walki, lecz się i jej nie bał. Wiedział, że i tak umrze, bo każdy człowiek umrzeć musi — więc czegóż się miał bać?

„Wzieni mnie, to wzieni, to se polegnem i coz to? Słuzować niwtory nie bendzie po mnie, a i ja się obendem".

Ale to mu się tylko tak mówiło. Poledz „pewnikiem" by poległ, bo „han sytka zemrom", ale odezwała się w nim góralska natura.

I cóż?

Pójdzie tam, będzie walczył, lecz za co? Za swe Tatry? Nie. Wcale nie.

Z musu.

I poczęło walczyć to uczucie w nim, które się zwie miłością ku rodzinnym halom, ku rodzinnym lasom, które go wydały, które go wyżywiły i przy życiu utrzymywały swem tchnieniem.

Nie chciał iść — i „nie trwoga nim władała, lecz miłość" — szeptało na usprawiedliwienie sumienie.

Wojna była dla niego niczem — Tatry wszystkiem, one jedynym skarbem na świecie, one mu zastępowały ojca, matkę, żonę, dzieci, gdyby je stracił, straciłby wszystko, straciłby całe swe życie bezpowrotnie, beznadziejnie. Pozostawało mu jedno wybawienie — śmierć. Ona mogła mu tylko ukrócić jego cierpienia, jego ból po utracie ukochanej ojczyzny, śmierć mogła uwolnić go od wypełnienia surowego musu.

I zapragnął umrzeć, bo już miał dość tego tułania się po świecie.

A skoro wyszedł teraz z szopy juhasów, to wyszedł z zamiarem odebrania sobie życia i... był gotów na śmierć.

Oczyma żegnał Tatry swe, a serce biło mu niby młotem i łzy płynęły do oczu, łzy bolu, żalu, tęsknoty.

I jak stał z rozwianym włosem, z ciupazką w lewej, a gęśliczkami w prawej ręce, rzucił się w góry.

I wiatr mu uniósł czapeczkę z piórkiem pawiem,

z koralikami wokół i uniósł gdzieś daleko — hen! Nie zważał.

Biegł dalej, wzbijał się coraz wyżej, wyżej. Wreszcie stanął na wirchu i spojrzał wokoło.

U stóp czarniała przepaść stroma. Pochylił się i — zimno przejmujące zalało mu twarz.

Czeluście stały otworem — czekały na gotującą się ofiarę, wyciągały swe kościste dłonie po niego, wciągały go do siebie, czyniąc się ponętnemi, wdzięcząc się bezwstydnie.

I Staszkowi zdawało się, że one mówią do niego językiem gór:

— „Pójdź-ze haw, Stasku nas, pójdź ze, uwolnim cie ode tego świata skaradnego, co cie kciał oderwać od nas, pójdź ze. Tu ci bendzie bardzo dobrze, urychtujem ci haw mięciutkie łoze, bendzies legał na mchu zielonym, a białe lelije błysceć wokół cię bendą, jak gwiazdki na niebie — na pociechę, na lepsą dolę. Haj! A kie nocka carna, jak wongiel nadvńdzie, ospalis se watrom i bendzies se spał tutok wedle nij. A kie sie zaprą twe ślipia, wte śnić bendzies, jako zywo o tych Tatrak, o tych skałach, co cię tak tu trzymają!“

I zdawało się Staszkowi, że tam na dnie znajdzie miejsce, gdzieby mógł złożyć swój zlepek i „zamrzeć“.

Nęciły go te potwory górskie, nęciły i wabiły. I czuł, że już im się nie wydrze, że tu zostanie, że odda Tatrom swego ducha. Wyobrażał sobie, że zstępując w te otchłanie, ujrzy Tatry swe na nowo, w łunie blasków, w koronie lasów i mchów, takie piękne, urocze, jak nigdy.

I zadumał się.

A wtedy z wichrem doleciał go odgłos fujarki pastuszej i smętnej, góralskiej piosenki:

„Góralu, czy ci nie żal?
Opuszczać Tatry, iść w dal?“

Wtedy zakotłowało się w jego wyobraźni, jak w stawach, zmąconych skokami ryb i ryknął z całej piersi:

— Oj! Żal! Żal!

I runął na skałę.

Przytulił się całem ciałem do niej, całował ją, obejmował, płakał, a łzy miłości spływały na twardą glebę, rosząc ją obficie.

I spadały te łzy, jak złoto do skarbca, jak krople dżdżu rannego z niebieskich podwoi.

Uczuł, że chciałby ze sobą zabrać tę ziemię, te skały, hale, regle, stawy, potoki, chciałby je nieść, by się nimi jeszcze nacieszyć, by się z nimi pożegnać.

I wstał.

Ujął za gęśliki i grać począł pieśń ostatnią — pieśń swego życia góralskiego.

— — — — — — — — — — — —

Drgnęły struny.

— — — — — — — — — — — —

I słychać było wprzódy leciuchne tony jakieś, wolne, słodziutkie, niby kwilenie dziecięcia, niby skarga niemowlęcia.

Potem rosły, wzmagały się i grały silniej, czyściej.

I stawał w tej melodyi młody Staszek chłopcem w koszulinie i góralskich, brudnych portkach z palcem w ustach, patrzący na smreki, pola, niwy, płaczący, milczący.

Czasem struna uderzyła mocnym akordem, czasem grzmiała, jak piorun, lecz zawsze opadała, zawsze zwalniała tempo.

I przechodziła pieśń powoli w tony grube, twarde, jak żelazo, ostre, jak stal.

I ukazywał się wtedy mężczyzną, góralem, taternikiem.

W białych portkach, jak śnieg podtatrzański, w żółtych kierpcach, w guni z różowemi wstążeczkami, w kożuchu, w kapelusiku z piórkiem na głowie i koralikami wokoło, drapiący się na turnie, na skały, idący na gody pod „żelazne wrota“.

I słychać było w tych tonach zbójnicką pieśń tatrzańską i zbójnicki taniec ukazywał się w tej muzyce, jako żywo!

I szły fale za falami i mijały lata za latami.

I wygrywał je Staszek coraz silniej, silniej, silniej.

Aż nagle urwał.

Zamilkły gęśle, ale niedługo tak dumały w ciszy.

Znów drgnęły — lecz cóż to?

Jakąś falą wezbraną grzmią struny, znikła melodya życia, słychać jakieś pomieszane akordy, jakieś burze, nawałnice z piorunami.

Żaden dźwięk nie zapanował nad drugim — wszystkie razem brzmią dziko, złowrogo.

Jakieś jęki, wzdychania, płacze, nakoniec biadania i walka daje się słyszeć.

Szarpnął za struny.

Jękły raz ostatni smutnie, żałośnie i długo, długo...

Odegrały mu życie — odegrały śmierć.

Skończył.

A echo grzmiało jeszcze ostatniemi falami — i... wysłuchał, a gdy zamilkły, targnął za struny i przycisnął je do piersi.

Potem spojrzał jeszcze raz, raz ostatni na turnie i hale i regle i doliny — i... rzucił się.

A wtedy zawył wicher, a z wiatrem przyleciała piosenka smętna, góralska:

„Hej Krywaniu, Krywaniu
wysoki!
Płyną, lecą z pod ciebie
potoki!
Tak się leją moje łzy,
jak one!
Hej łzy, łzy niezapłacone...
Hej Krywaniu, Krywaniu
wysoki!
Idzie od cię szum lasów
głęboki,
a mojemu idzie żal kochaniu —
hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...

— — — — — — — — — — — —

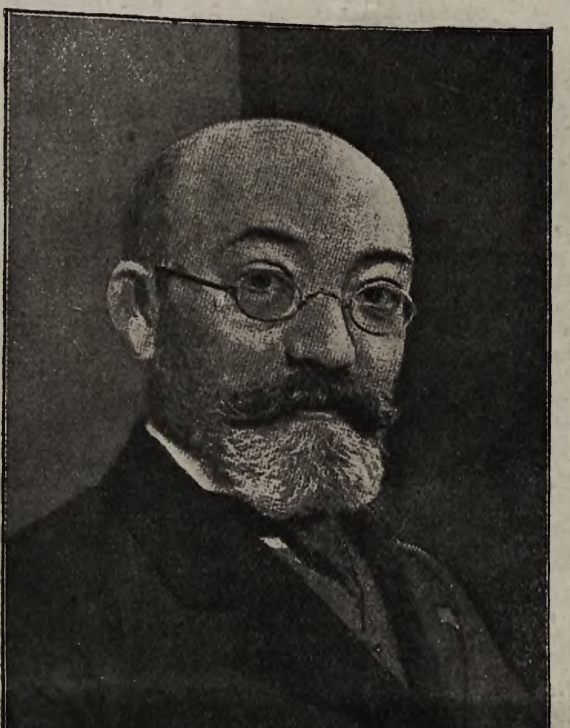
Na dnie przepaści plusła woda...

KONIEC.

Zgon twórcy „Esperanta“.

Jak donoszą z Warszawy, zmarł tam dr Ludwik Zamenhof, znany szeroko poza granicami kraju, jako twórca międzynarodowego języka esperanckiego.

Urodzony w Białymstoku w roku 1859, dr Zamenhof już na ławie gimnazyalnej zajmował się wytworzeniem języka międzynarodowego, któryby mógł służyć światu całemu za środek do ogólnego porozumienia się. Studyując następnie medycynę na uniwersytecie warszawskim, który ukończył w roku 1884, dr Ludwik Zamenhof, cały swój czas wolny od zajęć lekarskich, poświęcał pracy nad ukształtowaniem nowego języka. Dopiero wszakże w roku 1887 ogłosił swój „Podręcznik kompletny języka międzynarodowego“ w czterech językach: polskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Język ten, któremu twórca jego, dr Zamenhof, od pseudonimu swego pisarskiego nadał nazwę „esperanto“, opierający się na lingwistycznych pierwiastkach romańskich i germańskich, zyskał sobie żywe uznanie w sferach zwolenników języka międzynarodowego całej kuli ziemskiej. Niewątpliwie „esperanto“, owoc całożyciowej działalności dr Zamenhofa, odniosło walne zwycięstwo nad licznemi próbami poprzedniemi wytworzenia podobnego języka.



Zgon twórcy „Esperanta“: Zmarły w Warszawie dr. Ludwik Zamenhof.

Jako lekarz, dr Ludwik Zamenhof poświęcił się praktyce okulistycznej w Warszawie, gdzie spędził znaczną część życia.

Należy przypomnieć, że w Krakowie przed kilku laty odbył się międzynarodowy zjazd esperantystów, który stwierdził, że idea języka międzynarodowego nie jest bynajmniej utopią.

Największa w dziejach bitwa.

Tocząca się już od szeregu dni bitwa na froncie Arras-Soissons przybrała rozmiary, przewyższające wszystkie dotychczasowe walki w obecnej wojnie. Czytając komunikaty sztabu niemieckiego, odnosi się wrażenie, że są to wyjątki z jakiegoś eposu homeryckiego — a nie rzeczowo informujące sprawozdania urzędowe.

Trzeba wczytać się w poszczególne zdania i wyrazy, aby treść ich skonstruować plastycznie i stworzyć jeden fragmentaryczny obraz — dantejski...

Ogień miażdżący trwa dziesięć dni. Bez przerwy dziesięć dni na froncie czterdziestu kilometrów. Przez dziesięć dni monotonia huku. Przez dziesięć dni potop żelaza bije w ziemię. Ale już nie tylko na



Największa w dziejach bitwa: Miejscowość Rens, zniszczona pociskami artyleryi francuskiej

wąski pas pierwszych rowów strzeleckich; żelazo kuje przestrzeń na czterdzieści kilometrów długą, ale w głąb sięgającą na szereg wielu linii obronnych, żelazo kuje całą obwarowaną strefę.

Nasypy ochronne znikają, rowy, podkopy zawalają się, murowane zabezpieczenia przestają istnieć, niwelują się sztuczne nierówności terenu, a w ich miejsce na całym tym straceńczym obszarze granaty ryją dół przy dole i znowu nowe doły, które zaory wują poprzednie.

W takich warunkach obrona staje się niemożliwą, bo niepodobna wytrwać... Gdzie? Na pozycyach? — Niema ich! Bo kto ma wytrwać? Kto tam ocaleje. gdzie może się schronić? A choćby przez szyderstwo niezniszczalnego życia ze śmierci, żołnierz przetrwał dzień, dwa, choćby trzy, to czy można go w nocy zmienić, czy można donieść żywność?

Takie było przygotowanie ataku.

Atak po ogniu huraganowym, to dla żołnierza ulga, to wybawienie, to swoboda czynu, więc możność ocalenia.

Ale atak francuski dostroił się do swego wstępu. Na szerokości czterdziestu kilometrów ruszają wojska atakowe z szeregu przednich rowów, doborowo i masowo przygotowane, z miejsca wsparte rezerwami, rozciągające się w głębokich kolumnach.

A dla wzmocnienia uderzenia, rzucono jeszcze nowe zastępy i równocześnie podjęto szachujące uderzenia na skrzydła.

Atak po takiem uderzeniu powinienby właściwie zredukować się już tylko do marszu po martwym księżycowym krajobrazie. A jeśli jednak jeszcze kto tam ocalał, to taki atak powinienby dokończyć dzieła zupełnego zniszczenia.



Cmentarz wojenny na południowo-zachodnim froncie: Groby poległych oficerów na cmentarzu w Gorjańsku.

Jakiż był jednak łączny efekt militarny pierwszego, najgwałtowniejszego uderzenia?

Pierwszy komunikat niemiecki i pierwszy francuski zgodnie donoszą o utracie części linii niemieckich. Komunikat niemiecki wskazuje na utratę materyału wojennego, francuski mówi o wzięciu 10.000 jeńców. Poległych nie wylicza się. Ale poza tem oba raporty stwierdzają jedno, że ta największa w dziejach bitwa, mająca decydować o przełamaniu frontu, nie przyniosła dotychczas zamierzonego rezultatu — nie dokonała przełamania frontu. Walki są dalej w toku, a jaki będzie dalszy ich przebieg, najbliższa przyszłość okaże. Dziś trudno sobie nawet zdać sprawę z ogromu tych niebywałych w dziejach zapasów. Może kiedyś dopiero pojawią się liczby, które powiedzą, ile prochu i materyałów wybuchowych zużyto na froncie Soissons od d. 6. kwietnia; ile tysięcy ton żelaza padło w godzinie na ziemię, ile kosztowało zabicie jednego niemieckiego żołnierza, na ile tysięcy franków przypadała strata jednego żołnierza francuskiego.

Te liczby przemówią kiedyś strasznemi słowy.

Cmentarz wojenny na południowo-zachodnim froncie.

Na wyżynie Doberdo, gdzie w ciągu kilkunastu miesięcy toczyły się zażarte walki między wojskami austro-węgierskiemi a Włochami, pragnącymi za każdą cenę sforsować linię Isonza i otworzyć sobie wolne przejście w głąb monarchii i na Tryest, zebrała śmierć obfite żniwo. Zarówno z pomiędzy dzielnych obrońców granic państwa, jak i z pośród Włochów wielu padło na polu chwały, a wierni towarzysze broni złożyli ciała ich na wieczny spoczynek, zakładając mniej lub więcej ozdobne cmentarze.

Jednym z najwspanialej i z największym pietyzmem dla pamięci poległych urządzonym jest cmen-





Największa w dziejach bitwa:
Wnętrze kościoła w Craonne (front zachodni) zniszczonego pociskami dział koalicyi. Gruzy domów w Bapaume, na terenie toczących się obecnie walk na Zachodzie.

tarz wojenny w Gorjańsku. Powstał on wśród trudnych, zdawało się, że nie do pokonania warunków, za inicyatywą lekarza sztabowego, dra Fryderyka Melińskiego, komendanta szpitala polowego 11/2, przy współudziale grupy pułkownika Trieba, a według projektu budapeszteńskiego architekta, inżyniera dra Guttmanna.



Wiosenny śnieg: Fragment plantacyi miejskich w Krakowie, okrytych śniegiem 19. kwietnia.

„Kaligula“ Rostworowskiego na scenie krakowskiej.

Prawdziwem artystycznem wydarzeniem w krakowskim teatrze im. J. Słowackiego trzeba nazwać wystawienie „Kaliguli“, utworu imponującego nietylko polotem poetyckim, ale i potęgą architektoniczną, jakoteż i wspaniałością inscenizacyi. Do niezwykłego w obecnym niewdzięcznym czasie wojennym sukcesu przyczyniły się zarówno walory artystyczne dramatu, jak i staranna jego wystawa — bogate pomysły dekoracyjne p. Frycza, zrealizowane kunsztownie przez artystów malarzy krakowskiego teatru, pp. Zygmunta Wierciaka i Zbigniewa Pronaszkę, jakoteż gra zespołu artystycznego pod wytrawną reżyseryą p. Stanisławskiego.

Szczupłość miejsca nie pozwala na dokładniejsze omówienie samego utworu. Poza twierdzeniem niezaprzeczalnej jego wartości literackiej i artystycznej to jednak zauważyć należy, że jest to raczej może fragment dramatu, na tle spiskującego Rzymu w okresie panowania Kaliguli, fragment z dwóch przedewszystkiem względów.

Po pierwsze, nie zaznaczył autor ani w jednej scenie, jakim był Kaligula, zanim jego duszę człowieczą „zabił właśnie ów Rzym“, choć wiemy z historyi, że Kaligula nie grzeszył równowagą umysłu. Nie był on jednak odrazu schorzałym neurastenikiem, jakim ukazał go Rostworowski. A powtóre, dlaczego spiskowcy zabijają Kaligulę? Tego autor nie umotywował w dramacie, może nawet dlatego oryginalnym, że płynie bez akcyi i kazał spiskowcom w akcie czwartym zamordować cezara tylko po to, aby się nie sprzeciwić historyi.

A więc w tem tkwią dowody fragmentarycznego ujęcia, nie mówiące jednak bynajmniej, że fragment ten nie został efektownie opracowanym.



Cmentarz wojenny na południowo-zachodnim froncie: Ogólny widok cmentarza w Gorjańsku na wyżynie Doberdo wraz z kaplicą pamiątkową.



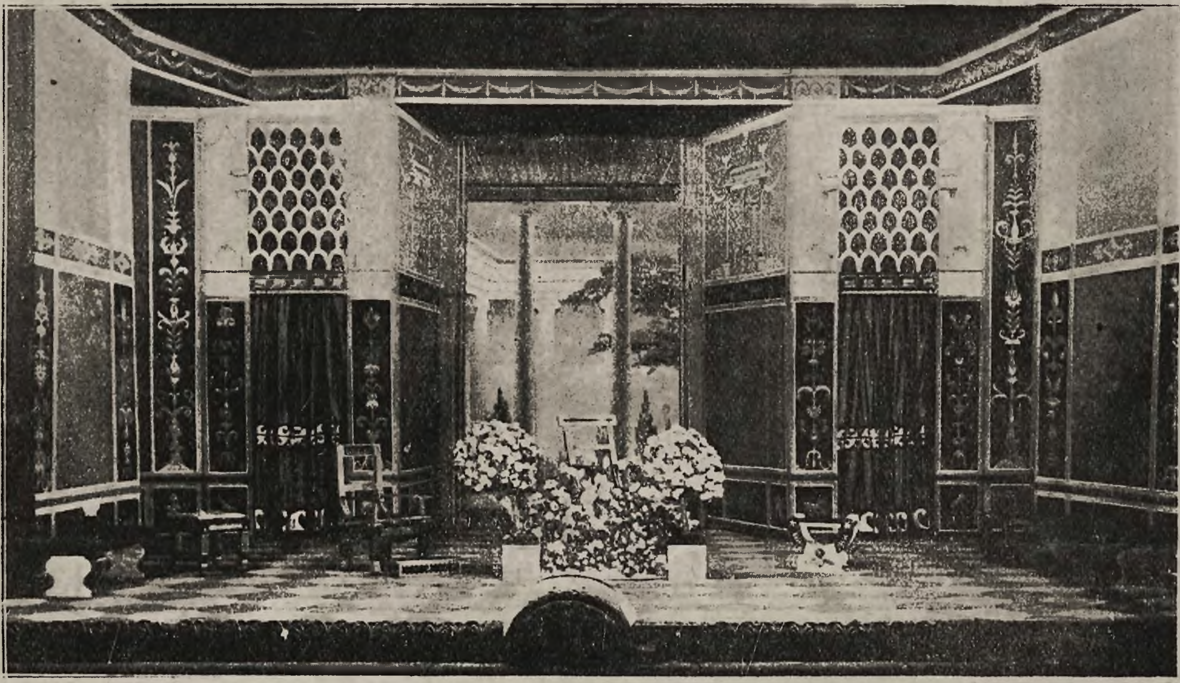
„Kaligula“ Rostworowskiego na scenie krakowskiej: Od lewej ku prawej: p. Bończa (Kaligula) i p. Nowakowski (Protogenes).



Wiosenny śnieg: Zaspy śnieżne na plantacyach miejskich w Krakowie.

„Kaligula“ jest dziełem nawskróś scenicznie napisanem, w którem właśnie ten moment góruje nad dramatycznością. Tło, na którem rozsnuł poeta swoje dzieło, zostało podmalowane zgodnie z tradycyą epoki. Na żmudnie i artystycznie wyhaftowanej kanwie roztacza się przed nami postać Kaliguli, psychologicznie i artystycznie skomplikowana, tak, iż trzeba obok wskazówek autorskich, dużej intuicyi aktorskiej, aby ją konsekwentnie przeprowadzić.

Z prawdziwem odczuciem stylu klasycznego odegrał tą rolę w myśl intencyi autora świetny artysta, p. Leonard Bończa, dublował zaś ją z nim p. Stanisław Stanisławski. Ujrzeliśmy kreacyę niezmiernie oryginalną, choć p. Stanisławski nie tylko obmyślił tę postać odrębnie od swego poprzednika, ale nawet w niektórych momentach odtworzył ją na własne ryzyko z pominięciem uwag w tekście. I próba, jaką mu imperatyw czułej duszy artystycznej nakazywał,



„Kaligula" Rostworowskiego na scenie krakowskiej: Dekoracya aktu I.



Nina Doli.

powiodła się doskonale. Było w jego Kaliguli mnóstwo ornamentacyi, dobranych z wielką miarą i plastyką zarazem; i w masce (szaty pomysłu p. Pronaszki) i w geście i w słowie przebijało się stanowczo bliższe podobieństwo do wizerunku, nakreślonego przez historyę; schorzałość umysłowa cezara uwydatniła się umiarkowanie, w bardzo subtelnej gradacyi maniackich pomysłów, przyczem zaakcentowanie strony poetyckiej dramatu, sympatycznie postawiony głos, pewna powściągliwość w geście i wydobycie tych niuansów, na podstawie których rozumie się Demetriusa, przeczącego Lollii, że Kaligula „to nie był potwór, lecz człowiek", wystawiają p. Stanisławskiemu świadectwo wirtuoza scenicznego. Zasługuje też na rzetelne uznanie i jego reżyserya trudnej sztuki.

Obok niego na pierwszym planie był p. Mierzejewski, który w roli Regulusa okazał się pierwszorzędnym artystą. Ten wychowanek „surowej Hiszpanii" miał w sobie i zapał bohatera i sentyment idealisty. Z niepospolitą siłą i ekspresyą słowa oddała rolę Lollii Pauliny p. Róża Łuszczkiewiczówna, z którą grała tę rolę naprzemian p. Turowiczówna z niemniejszym sukcesem. Caesonia p. Bednarzewskiej i Quintilia p. Pancewiczównej dowiodły, jak można z ról, nie traktowanych szeroko przez autora, stworzyć interesujące kreacye. P. Biegański, jako Kallistus i p. Nowakowski, jako Protogenes, przykuwali uwagę widowni swoją kulturą i iście rzymskiem obliczem. Bardzo stylowo wypadła rola Pomponiusza w interpretacyi p. Zarskiego i rola Chaerei p. Noskowskiego. Koncertowo zgranego zespołu dopełniali pp. Feldmann, Frączkowski, Czarnowski, Benda, Boelke, Szymborski i inni.

Teatr Słowackiego, a raczej dyrektor Siedlecki, zadokumentował swoją powagę i wykwintny smak, dając widowisko okazałe, godne jego wysoce artystycznego wysiłku.

Michał Lew Orlicz.

Nina Dolli.

Częste występy Niny Dolli oraz urządzane na cele dobroczynne „wieczory rytmiczno-plastyczne" jej uczenic ustaliły młodej artystce słuszne uznanie i ogólną sympatyę. Wzmianki tutejszej prasy wyrażają się zawsze pochlebnie o artystce, a jeszcze większe zyskała ona uznanie zagranicą, zwłaszcza w prasie niemieckiej.

Nina Dolli nie jest bowiem tylko tancerką, ale



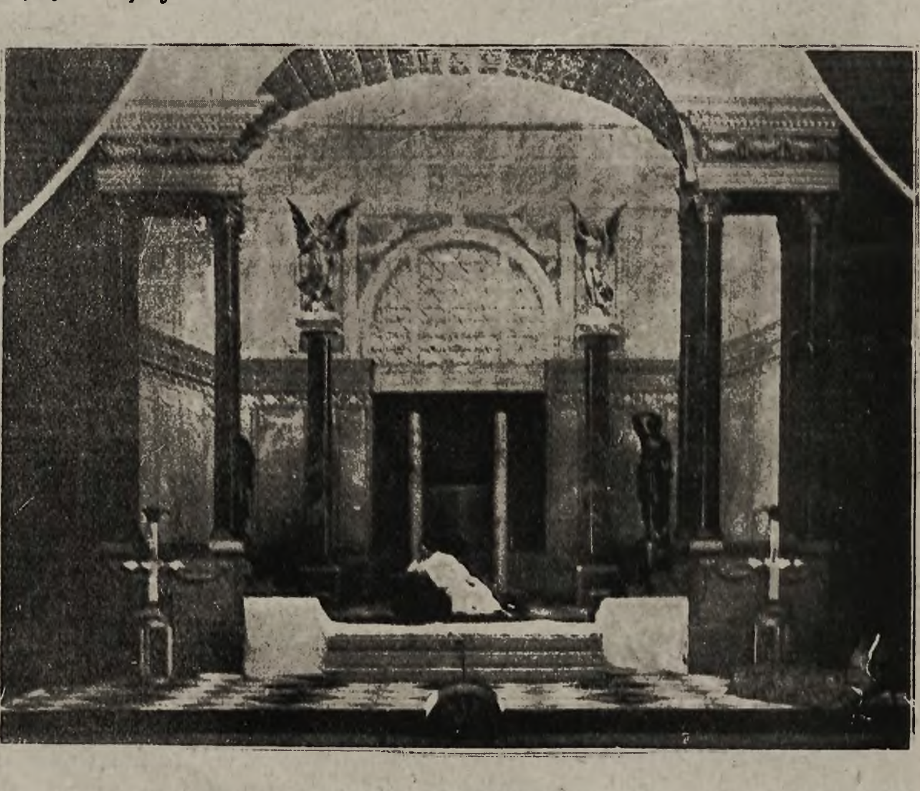
„Kaligula" Rostworowskiego na scenie krakowskiej: Ostatnia scena aktu IV. Od lewej ku prawej: p. Frączkowski (Demetrius), p. Turowiczówna (Lollia) i p. Bończa (Kaligula).

mimiczno-plastyczną interpretatorką muzyki. Dorobek jej artystyczny, składający się z licznych, subtelnie przestudyowanych utworów najwybitniejszych kompozytorów, dał nam możność należytego ocenienia talentu artystki. Mimiczno plastyczne sceny i poematy taneczne Niny Dolli, opracowane są pod każdym względem, a w szczególności pod względem technicznym, po wirtuozowsku. Ozdobne dodatki, konieczne w tej sztuce, a zarazem prostota i wyraz jasny — czynią kompozycye niezmiernie interesującemi. W niektórych utworach tragizm, czy poezya sielska, w innych werwa i humor, rozrzucane pełną siłą młodości i nieprzepartego wdzięku, rumienią się jasnym kolorytem i świeżością wiosny. Przedewszystkiem podnieść należy atmosferę smaku artystycznego w interpretacyach Niny Dolli, który widza przenosi w krainę uczuć estetycznych.

Nie pora dziś, wobec rozgrywającej się wojny światowej, na obszerny i należyty rozbiór poszczególnych występów Niny Dolli, lub jej uczenic, lecz sprawiedliwość nakazuje choć kilkunastoma słowy należycie ocenić rodaczkę, która umiała zasłużyć sobie na uznanie swoich i obcych. Wreszcie Nina Dolli od szeregu lat niesie bezinteresownie swój talent na ofiarę celów filantropijnych, która niejedną łzę otarła ubogim i niejedną wspomogła instytucyę.

Dr Ernest B. Eisler.





„Kaligula" Rostworowskiego na scenie krakowskiej

Scena z aktu II. Od strony lewej ku prawej: p. Łuszczkiewiczówna (Lollia Paulina), p. Bednarzewska (Caesonia), p. Stanisławski (Kaligula), p. Mierzejewski (Regulus).

Dekoracya aktu II.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

12

Mamy zadanie daleko łatwiejsze do spełnienia. Musimy wykazać, że pomimo pozorów i uprzedzeń, pomimo faktów wystawionych na naszą niekorzyść — nie mogliśmy popełnić zbrodni, o którą nas oskarżają. Powiemy jeszcze więcej. Nie mieliśmy nawet materyalnej możliwości jej spełnienia.

Nie będziemy roztrząsać wcale realności faktów, na których oskarżenie i inni jeszcze — dodał adwokat, zwracając się do ławy przysięgłych — opierają się, aby udowodnić nam winę. Nie, panowie przysięgli, to, nad czem dyskutować chcemy, to nie fakta, ale konkluzya, którą z nich wyciągnąć pragniemy.

Nie wystarczającem jest wykazać istnienie przyczyny, mogącej doprowadzić nas do zhańbienia się zbrodnią. Nie wystarczającem jest również wykazanie, że mogliśmy się znajdować na miejscu, gdzie zbrodnia spełniona została w owym dniu fatalnym. To, co powinno być ujawnione, panowie, i co dotąd ujawnionem nie zostało, że byliśmy tam w samej chwili, w której ofiara śmierć znalazła. Raz jeszcze powtarzamy, nie rozbieramy wartości zeznań odebranych.

Przyznajemy, że znajdowaliśmy się w wielkiej potrzebie pieniężnej, wówczas, kiedy ten napad barbarzyński miał miejsce. Przyznajemy również, że byliśmy w Sydney w okolicznościach obciążających nas, a które opisane zostały tak dokładnie. Ale motyw tego przybycia był inny. Przybyliśmy, aby nakłonić panią Clemmens do wręczenia nam przed czasem sumy potrzebnej. Nie zaprzeczamy, iż otrzymaliśmy od miss Darnell schadzkę, o której była mowa, jak również, że treść naszej rozmowy była ta, jaka tu powtórzoną została.

Przyznajemy, że wsunęliśmy na palec miss Darnell pierścionek, który zdjęła natychmiast, prosząc o jego odbiór, na co nie chcieliśmy się zgodzić.

Nie zaprzeczając słowom miss Darnell, twierdzącej, że pierścionek ten wsunęła do kieszeni płaszcza, oznajmiamy, że nie zdajemy sobie konkretnej sprawy z tego gestu. Przypominamy sobie tylko, że odsunęliśmy rękę, wyciągniętą do nas z pierścieniem. Prawdą jest zupełną, iż spędziliśmy noc 27. listopada w szopie węglarzy, jakoteż, że pozostaliśmy tam aż do następnego poranka. Ale fałszywem, z gruntu fałszywem jest twierdzenie, i materyalnie niemożliwem, tak, jak to udowodnimy zaraz, żeśmy zbrodniczą rękę podnieśli na panią Clemmens.

Napad ten oczywiście mógł mieć miejsce po godzinie dwunastej mniej więcej minut dziesięć, godzinie, w której nieszczęśliwa nasza krewna widzianą była jeszcze w pełnem zdrowiu, przez osobę, która fakt ten zeznała tutaj.

Otóż oskarżenie dowiodło, że wsiedliśmy do pociągu na stacyi Monteith o godzinie pierwszej minut ośmnaście. Dowiedzionem także zostało, że, aby się dostać do owej stacyi, wybraliśmy drogę leśną, najkrótszą, jaka się nam nasunęła.

Nie było jednak wymienionem w akcie oskarżenia, panowie, a co obowiązkiem naszym jest przypomnieć, że droga, o której mowa, jest bardzo ciężka i trudna do przebycia, że jest zasiana rozlicznemi przeszkodami i nie nadaje się do szybkiego biegu. Z drugiej strony zaś, pomimo okrążań licznych, nie można z niej zboczyć ani na chwilę, zważywszy na bagnisty teren, przez który się ciągnie.

Rezultat tych zastrzeżeń jest taki, panowie, że czas, zużyty do przebycia tej drogi aż do końca, przechodzi o wiele minut okres przypuszczalny od chwili popełnienia zbrodni do godziny w której stanęliśmy na dworcu w Monteith. Usłyszą panowie w tym względzie zdania dwóch fachowych biegaczy, zawezwanych z Nowego Yorku. Zeznania tych ekspertów, znanych ze zwinności i szybkiego biegu, wykazują jasno, że, wsiadłszy na pociąg w Monteith o godzinie pierwszej minut ośmnaście, niemożliwem jest, abyśmy mogli się znajdować na miejscu zbrodni w chwili, w której pani Clemmens napadniętą została.

Takim jest, panowie, fakt materyalny, niezbity, na którym opiera się nasza obrona. Nie wątpię, że dowód, jaki ci panowie przedstawią, stanowić będzie o natychmiastowem uwolnieniu oskarżonego! Skończyłem.

Pan Ormond, wypowiedziawszy tę przemowę, zajął swoje miejsce pośród dyskretnych oklasków zasłuchanego audytoryum. Ponieważ godzina była już dosyć późna, prokurator zawiesił dalszy ciąg rozprawy na dzień następny.

Próba przeciwna.

— Byrd, ma pan minę człowieka, który spadł z niebiosów.

— Nie dziwię się temu wcale.

— Co pan myśli o końcu tej obrony? Bo ja, doprawdy, połapać się jeszcze w niej nie mogę.

— Zaczynam wierzyć, że jest dobrą — odpowiedział Byrd z lekkiem wahaniem w głosie.

— Teraz dopiero?

— W pierwszej chwili wszystko to wydało mi się błahem. Byłem tak głęboko przekonany o winie Morgana, że wszystkie dowody opinii, przeciwnej mojej, wydawały mi się niedorzeczne. Ale im więcej się nad tem zastanawiam, tem łatwiej dochodzę do wniosku, że niepodobieństwem jest przebiedz wymienioną przestrzeń w półtorej godzinie.

Na twarzy Hickoryego pojawił się ironiczny uśmiech.

— Co się z panem działo podczas przemowy pana Ormond? — zapytał złośliwie. — Trzeba było patrzeć na niego, do dyabła!

— Tak też robiłem. A pan?

— Ja patrzałem na jedyną osobę, godną uwagi, z twarzy której mogłem wyczytać wiele ciekawych rzeczy.

— Na kogóż to?

— Na miss Darnell, oczywiście.

— I tym sposobem dowiedział się pan?... — syknął ze złością Byrd.

— O dwóch rzeczach.

— Doprawdy?

— Tak jest. Najpród, że zarówno tak, jak i my, nie wiedziała wcale, co mówić będzie pan Ormond. Następnie, że uznała rozumowanie adwokata bardzo przebiegłem, ale nie uwierzyła w nie wcale.

— Eh!

— Jest tak, jak pan umówię. Gdyby była obznajomioną z treścią obrony, to byłaby przedewszystkiem zwróciła swoją uwagę na wrażenie, jakie ona wywarła na ludziach, mających prawo decydować o losie jej narzeczonego. Byłaby więc skierowała swoje spojrzenie na sędziów przysięgłych — a tymczasem...

— Co tymczasem?

— Tymczasem, tak, jak i pan, nie spuszczała wzroku z obrońcy, śledziła każde jego słowo, każdy ruch z gorączkowem wzruszeniem, aż do chwili, w której zrozumiała argumenty, przedstawione przez niego.

— No i cóż dalej?

— Zamiast okazać wówczas ulgę jakąś, radość kobiety, słyszącej uniewinnienie kochanego człowieka, ona spuściła oczy i przybrała tak, jak na początku, nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Więc pan wnosi z tego?

— Że miss Darnell wie więcej, niż powiedziała.

— Nie sądzę.

— Przekonamy się wkrótce. Jeżeli panu Ormond nie uda się dowieść kategorycznie tego, co przedstawiał, to wszystko pójdzie dobrze, to jest źle dla oskarżonego, ale w razie przeciwnym, jeżeli się okaże, że miał słuszność, to podsunę panu Ferris jedno zapytanie do postawienia tej pannie.

— Jakież to?

— Gdzie ona sama znajdowała się w dniu zbrodni.

— Zdaje mi się, że przepędziła ten poranek w obserwatoryum willi Darling — zauważył Byrd, lekko wzruszony.

— Takie wyjaśnienie dała mi służąca profesora, ale dowiedziałem się później, że miss Darnell musiała się tam sama znajdować, bo profesor Darling był tego dnia trochę cierpiący i nie zeszedł wcale do laboratoryum.

— Czy nie zapytał pan, o której godzinie wydaliła się stamtąd?

— Owszem, zapytałem. Przecież po to tam tylko się udałem. Otóż dowiedziałem się, że około dwunastej już jej tam nie było. Służąca profesora, Maryeta, o tej porze udała się na górę, aby się dowiedzieć, czy pozostanie na śniadaniu i już jej nie zastała. Musiała zejść schodami wieżyczki, które prowadziły prosto do ogrodu.

Po tych słowach Hickoryego, twarz Byrda zachmurzyła się dziwnie.

— A więc, kiedy myślano, że znajduje się tam na górze? — zaczął powoli.

— Ona prawdopodobnie biegała po lesie — zakończył Hickory z naciskiem.

— Hickory! — wyrzekł nagle Byrd stanowczym głosem. — Nie trzeba dopuścić, aby pan Ormond dowiódł, iż ma słuszność.

— Jakże mu tego możemy zabronić? — uśmiechnął się nadwierzająco Hickory.

— Mam nadzieję wykazać, podejmując się sam tej czynności, że niepodobieństwem jest odbyć drogę, wiodącą z Białego Domku do dworca w Monteith, w mniejszym okresie czasu, niż godzina i dwadzieścia pięć minut.

Hickory z politowaniem spojrzał na wązką pierś Byrda i pokiwał głową.

— Pan tego nie potrafi dokonać — rzekł z przekonaniem. — Do tego trzeba mieć szerokie piersi i potężny oddech! Będzie pan zmęczony, zanim pan jeszcze wyjdzie z lasu. To ja się podejmę tej roboty!

— Pan?

— Naturalnie. Forsowne biegi, to moja specyalność, tak, jak specyalnością pana są rysunki. Pokażę panu kiedyś medale, jakie otrzymałem na podobnych wyścigach pieszych. Jeżeli nie przybędę na czas oznaczony, to będzie jasne, że rzecz ta nie jest do wykonania.

— A więc zgodziłby się pan na tę próbę?

— Bez namysłu!

— Jutro rano?

— Przed otwarciem rozprawy. Jeżeli nie wrócę na czas, zatrzyma pan moje miejsce!

— Oczywiście. Życzę panu szczerze powodzenia. Rzecz jest dosyć ryzykowna.

Hickory nie odpowiedział i zamyślił się głęboko.

— Co to jest? — myślał silnie zaabsorbowany. — Kilka dni temu Byrd byłby głowę swoją oddał za Morgana, a teraz gotów na wszystko, aby dowieść jego winę. Ciekawy jestem, co się w tem kryć może?

— Hickory! — przerwał milczenie Byrd. — Pan Ormond musi być bardzo pewnym siebie, jeżeli powziął ten system obrony.

— Tak sądzę.

— Musiał się posłużyć dobrymi biegaczami. Jeżeli więc pan chce, aby się ta próba udała, to powinien pan przedtem jeszcze zapoznać się z drogą do przebycia i przeszkodami, jakie pan znajdzie.

— Znam je dostatecznie.

— Niech pan jednakże uprzytomni sobie tę drogę w myśli, aby nie było niemiłych niespodzianek. Ot, właśnie stoimy przed moim hotelem. Niech pan idzie ze mną na górę i spróbuje mi opisać wszystkie ścieżki i przejścia, które ja odrysować spróbuję. Godzina taka, spędzona z ołówkiem w ręku, zabezpieczyć pana może przed pomyłką, przez którą stracić pan może kilka minut czasu.

— Doskonała myśl! — przytaknął Hickory. — Zabierajmy się do roboty natychmiast!

W kilka chwil później obydwaj detektywi siedzieli w pokoju Byrda, przed stołem, założonym wielką ćwiartką czystego papieru.

— No, dalej! — rzekł Byrd. — Niech pan opisuje, a ja w miarę rysować będę.

— Dobrze! — odpowiedział Hickory, pochylając się, by śledzić ruchy ołówka rysownika. — Wychodzę przez drzwi jadalnego pokoju, niech pan kwadratem naznaczy Biały Domek, na dole zaś kartki niech pan zaznaczy drogę, którą przebywać będę. Tak, doskonale! Dobiegam do furtki, prowadzącej na moczary, przeskakuję ją jednym susem, aby zyskać na czasie, przebiegam moczary i dochodzę do brzegu lasu.

— Dobry początek — zauważył Byrd, kreśląc linie potrzebne. — Cóż dalej?

— Staram się wcisnąć w las, tam, gdzie drzewa są mniej gęste, znajduję ścieżkę, która lekko zakręca w prawą stronę i która prowadzi mnie do polanki. Teraz mała elipsa dla polanki i punkt, oznaczający szopę węglarzy. Tutaj zatrzymuję się chwilę...

— Poco?

— Aby wejść do szopy.

— W jakim celu?

— By zabrać walizkę, którą zamierzam tam złożyć wieczorem.

— Walizkę?

— Oczywiście! Dlaczego się pan tak dziwi? Morgan przecież miał przy sobie wielką tekę skórzaną, zawierającą jego model.

— To prawda, ale...

— Ta teka musiała mu przeszkadzać w ucieczce. Muszę więc także obarczyć się czemś podobnem, aby być w tej samej sytuacyi, co i on. No, cóż, nie przyznaje mi pan słuszności?

— Przypuśćmy.

— Teraz dalej... Wychodzę jak najspieszniej z szopy i wchodzę do lasu ścieżką, znajdującą się z tyłu... Ale Byrd, cóż to pan robi... nie tak, jak mówię...

— Notuję kilka pobocznych punktów! — rzekł spokojnie detektyw, którego ołówek biegał z szaloną szybkością po przeciwnej stronie kartki.

— Cóż takiego?

— Oto najpród ścieżka, którą szedłem w pierwszych moich poszukiwaniach. Prowadzi do West-Ridge. Tędy to przyszła miss Darnell w dzień burzy. A teraz, poczekaj pan, muszę jeszcze zaznaczyć willę Darling, skąd rozciąga się widok na całą dolinę.

— Czy i na dom pani Clemmens?

— Naturalnie. W ten sposób moglibyśmy zrozumieć...

— Cóż takiego?! — zawołał z niedowierzaniem Hickory.

Byrd potrząsnął głową i nie odpowiedział. Odłożył na chwilę ołówek i rzekł, wskazując na punkt, oznaczający szopę węglarzy:

— Tędy więc wchodzi pan do lasu — prawda?

Hickory spojrzał ze zdziwieniem na Byrda i odpowiedział, lekko rozdrażniony:

— Idę ścieżką, biegnącą poziomo do tej, którą wszedłem do lasu, ale jestem zmuszony iść wolniej, bo droga jest ciężka, kamienista i ślizka. Przybywam do miejsca otwartego, zarośniętego gęstemi trawami i kolcami! Do dyabła! Otóż nie wiem, co dalej robię ze sobą!

— Dlaczego?

— Nie przypominam sobie kierunku, jaki ścieżka odtąd przybiera. Jest bowiem całkiem zakryta i niewidzialna.

— Pomogę panu.

— Zna ją pan lepiej odemnie?

— Widocznie. Scieżka w tem miejscu zakreśla półkole na lewo i powraca do lasu, przebiegając pod wielkim dębem, który służyć może panu jako punkt oryentacyi. Nie może się pan w ten sposób pomylić i zboczyć z drogi.

— Doskonale! Ale będę musiał zużyć wiele czasu na przejście przez tę przestrzeń, zarośniętą lianami i kolcami, które powstrzymywać mnie będą w biegu.

— To trudno. A później?

— Dopadam do drogi leśnej, która w prostej linii biegnie do rzeki. Niech pan zaznaczy punktami drogę i rzekę.

— Już zrobione.

— Tutaj gubię się już zupełnie.

— Doprawdy?

— Wiem tylko, że na tamtym brzegu widać główną drogę, prowadzącą do dworca. Ale, jak do niej się dostać, oto pytanie!

— Zaraz to panu wyjaśnię! — rzekł Byrd, notując szybko położenie rzeki i głównej drogi. — Na nieszczęście nie można nawet marzyć o przejściu w prostym kierunku. Niema wcale łódki przy brzegu rzeki, którąby się przeprawić można. Trzeba iść w górę aż do mostu.

— Więc jest i most?

— Jest. Tu właśnie niech pan uważa. Tylko niech pan nie zamyśla szukać krótszego przejścia, bo go niema wcale. Gąszcza po tej stronie są tak trudne do przebycia, że mógłby pan w nich zabłądzić, a w każdym razie stracić wiele czasu. Ale, jak tylko przejdzie pan most...

— To będę mógł galopować do woli — zaśmiał się Hickory, patrząc krytycznie na rysunek, który Byrd wykończał.

— Nic już panu tam nie stanie na przeszkodzie, może pan być spokojny.

— Ale, wie pan co? Nie mogę jakoś uwierzyć, aby Morgan wybrał tak długą drogę do swojej ucieczki. Twierdzi pan stanowczo, że niema krótszego przejścia?

— Jestem tego pewny. Niech pan sobie zresztą przypomni nacisk, położony przez pana Ormond na zeznanie naczelnika stacyi. Mówił on, że oskarżony, przybywając do Monteith, był zmęczony i wyczerpany, jak człowiek, który odbył dalszą drogę, ale nie zauważył, żeby jego ubranie było podarte i splamione błotem. Na razie nie zwróciłem na nacisk ten zbytniej uwagi, lecz teraz rozumiem, że obrońca chciał przez to wykazać, że Morgan wybrał tę drogę, którąśmy teraz przestudyowali, gdyż w innym wypadku musiałby przeprawiać się przez bagniska, gdzie byłby się musiał koniecznie zabłocić, lub przez gąszcze, gdzie znowu podarłby bezsprzecznie ubranie.

— To słuszne rozumowanie! — przytaknął Hickory — No! Zresztą zobaczymy, czy jutro, przy dobrej woli i mocnych nogach, nie potrafimy obalić twierdzenia pana Ormond!

Świadkowie.

Rozprawa dnia następnego poświęcona była rozpatrywaniu pewnych zeznań, zebranych jeszcze podczas wstępnego badania koronera, na które oskarżenie nie położyło szczególniejszego nacisku. Chodziło mianowicie o skonstatowanie dokładne, o jakiej porze pani Clemmens zamordowaną została.

Przeciwnie zaś, dla obrony punkt ten był nadzwyczaj ważny i dlatego na rozprawie pojawili się pierwsi świadkowie sprawy wraz z Gordonem Hildrethem.

Wejście tego ostatniego na salę uczyniło przygnębiające wrażenie. Gordon Hildreth dziwnie się zmienił i postarzał od dnia swojego uwięzienia i usiłowanego samobójstwa. Cerę twarzy miał ziemistą, oczy głęboko zapadnięte, szyję owiniętą dużym, ciemnym fularem. Należy dodać, iż w ogólnem współczuciu, wywołanem jego widokiem, mieściła się również jakaś nieokreślona niechęć i antypatya, wywołana zachowaniem się jego, raz aroganckiem i zuchwałem, to znowu lękliwem i niespokojnem.

Mimowoli zebrana publiczność musiała czynić porównanie pomiędzy nim, a Cyrylem Morgan, które wypaść z konieczności musiały na korzyść tego ostatniego.

— W tem zestawieniu obydwóch oskarżonych — pomyślał Byrd — widzę mistrzowską rękę pana Ormond. Pomysł jego jest doskonały. Gdyby teraz Hildreth znajdował się na miejscu Morgana, nie ręczyłbym za jego głowę.

Pan Ferris, ujrzawszy tych dwóch ludzi, siedzących blisko siebie na ławie oskarżonych, doznał podobnego wrażenia, jak Byrd.

Pochylił głowę i zmarszczył czoło: zdawało się, że jakieś zwątpienie ogarnęło go nagle. W pewnej chwili rzucił w stronę miss Darnell spojrzenie, pełne wyrzutu i ironii, zdające się mówić:

— Oto człowiek, dla którego, nie znając go nawet, poświęciła pani najdroższe swoje uczucia!

Wszyscy zauważyć musieli, że Gordon Hildreth z przymusem i widoczną złą wolą odpowiadał na zapytania adwokata, pragnącego się dowiedzieć, jak przepędził ranek w dniu 28. listopada. Rezultatem tego badania było skonstatowanie, iż Hildreth na dziesięć lub dwanaście minut przed dwunastą opuścił Biały Domek, po widzeniu się z panią Clemmens.

Naczelnik stacyi w Monteith zeznał już poprzednio, że oskarżony wsiadł na pociąg, odchodzący o godzinie pierwszej minut ośmnaście. Pan Ormond kazał raz jeszcze zawezwać świadka, aby się przekonać, że dnia tego pociąg odjechał bez opóźnienia.

Kiedy fakt ten dowiedzionym został, inni świadkowie zostali zawezwani dla oznaczenia drogi, prowadzącej do Monteith przez lasy. Pan Ormond pozatem kazał sporządzić kilka dokładnych planów i rozdał je pomiędzy sędziów przysięgłych. Nareszcie wywołano nazwisko jednego z najsławniejszych biegaczy z Nowego Jorku, który już niejednokrotnie odbierał pierwsze nagrody na wyścigach w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Byrd zaczął się już niecierpliwić, nie widząc na sali Hickory'ego. Lękał się, aby jaki wypadek nie przeszkodził mu w wykonaniu podjętego zadania.

Co chwila niespokojnie zwracał oczy w stronę drzwi, kierując je następnie na twarz obrońcy. Zauważył, że pan Ormond również często spoglądał ku drzwiom.

— Zdaje się, że i on oczekuje kogoś. — myślał Byrd, podczas kiedy zawezwany biegacz zdawał sprawę ze swojej misyi.

— Pierwszy raz odbyłem drogę w stu dwudziestu minutach — rzekł z powagą — drugi raz w stu piętnastu. Poznawszy lepiej teren, zaoszczędziłem pięć minut, oszczędzając sił w przejściach trudniejszych. Natomiast trzecia próba zabrała mi dwie minuty więcej, bo droga leśna była wówczas w bardzo złym stanie po deszczu, który spadł w nocy. Uznaję więc, że, chcąc się dostać przez lasy z Białego Domku do stacyi w Monteith, trzeba zużyć przy intenzywnym biegu najmniej sto piętnaście minut czasu.

Szmer zadowolenia przyjął wywody biegacza. Wskazywały one jasno niewinność oskarżonego.

Jednakże sąd nie zdawał się być jeszcze przekonanym.

— W tych trzech wypadkach, o których pan mówi — odezwał się prokurator — odbył pan tę drogę pieszo?

— Tak.

— Czy nie mógł pan inaczej uczynić?

— Nie, panie prokuratorze, przynajmniej nie przed przejściem mostu i dostaniem się na główną drogę.

— Jak długo biegł pan od tego miejsca?

— Pięć minut najwyżej.

— A gdyby pan był miał konia?

— Gdybym był miał dobrego konia, któryby tam już czekał na mnie, zyskałbym może trzy minuty.

Drugi biegacz potwierdził w zupełności zdanie kolegi. Najlepszy bieg jego wynosił sto dziewiętnaście minut. W chwili, kiedy kończył swoje zeznanie, wszedł do sali Hickory.

Byrd, którego niecierpliwość wzmagała się coraz więcej, miał właśnie spojrzenie utkwione w stronę drzwi. Pan Ormond również patrzał w tym kierunku, ale ani detektyw, ani Hickory tego nie spostrzegli. Inaczej Hickory nie byłby potrząsnął głową, chcąc tym sposobem wskazać Byrdowi, że wyprawa jego nie odniosła pożądanego skutku.

— To było wprost niemożliwe! — szepnął, siadając obok niego — Będąc przygotowany co chwila na skręcenie karku, bo biegłem tak, jak gdyby mnie sam dyabeł gonił, potrzebowałem sto ośm minut do odbycia tej piekielnej drogi.

— To w każdym razie siedm minut mniej, niż zawodowi biegacze — odparł Byrd z zadowoleniem.

— Doprawdy? Na honor, cieszę się, że pobiłem takich ekspertów. Ale cóż to wszystko znaczy? Nie siedm, ale dwadzieścia pięć trzeba było zyskać, aby wykazać to, cośmy chcieli, a o tem nawet marzyć nie można, chybabym się w ptaka zamienił.

— To trudno! — szepnął smutnie Byrd, myśląc, że teraz miss Darnell nie będzie się mogła usunąć przed nowem badaniem.

Jednakże wielka niespodzianka oczekiwała obydwóch detektywów.

Adwokat Ormond skinął nagle na woźnego, sto jącego opodal i szepnął mu słów kilka i zaraz rozległo się donośne wołanie:

— Pan Frank Hickory!

— Cóż u dyabła oni mogą chcieć odemnie? — zawołał detektyw z komicznem zdumieniem.

Dowiedział się o tem wkrótce.

— Czy nie zechciałby pan, panie Hickory — zapytał grzecznie obrońca — objaśnić nas wszystkich, skąd pan teraz przybywa?

— Z hotelu — odparł bezczelnie detektyw, mrugając znacząco na Byrda.

— Z hotelu? — powtórzył pan Ormond — Panie Hickory, pan doskonale rozumie, o co mi chodzi. Co pan robił dziś rano po wyjściu z Białego Domku?

— Co robiłem?... Rozprostowałem sobie trochę nogi na wzór tych panów! — rzekł Hickory, kłaniając się ironicznie w stronę ekspertów.

— W jakim celu?

— Byłem tak zarozumiały, że chciałem dorównać ich zwinności... a może...

— A może co, panie Hickory?

— A może nawet obalić cały system obrony!

— Doprawdy? Ciekawy jestem, w jaki sposób? Czy może pan chciał nas przekonać, że można w przeciągu ośmdziesięciu ośmu minut odbyć drogę z Białego Domku do stacyi w Monteith?

— To było moją myślą.

— Na czem pan opierał nadzieję pobicia tych dwóch panów, rutynowanych w swoim zawodzie?

— Zdaje się, że nie grzeszę zbytkiem skromności — odparł flegmatycznie Hickory, ku wielkiemu zadowoleniu całej sali.

— Proszę nie żartować, miejsce nie nadaje się do tego! — zauważył surowo adwokat — Zapytuję pana, czy był pan wdrożony do szybkiego biegu?

— Zdarzyło mi się to raz, czy dwa w życiu.

Stłumiony śmiech rozległ się po sali.

— Proszę o spokój! — zawołał donośnie woźny.

— Panie Hickory! — podjął znowu pan Ormond — Proszę, niech pan mówi trochę poważniej. Tak, czy nie! Czy się ma pan za dobrego biegacza, mogącego ocenić z własnych, odniesionych rezultatów — czy możliwem jest, aby w ośmdziesięciu ośmiu minutach odbyć wiadomą drogę?

— Byłem na tyle zuchwały, że sądziłem, iż potrafię tego dokonać, ale zawiodłem się trochę.

— Zanim nas powiadomi pan o rezultacie swojej próby, zechce może wyjawić sądowi, jaką pan obrał drogę?

— Tę, którą prawdopodobnie biegł oskarżony.

— A więc?

— Scieżkę w lesie, następnie drogę leśną, most, szosę. Nie znałem innej drogi.

— Ale tę znał pan, jak widzę?

— Przebiegałem już nią aż do rzeki.

— W takim razie nie potrzebował się pan nigdzie zatrzymywać dla nabrania oryentacyi?

— Nie.

— Co pan uczynił, znalazłszy się nad rzeką?

— Szedłem wzdłuż brzegu, aż do mostu, który przebyłem biegnąc.

— Czy ten szybki bieg zachował pan również, kiedy dostał się pan na główną drogę?

— Och, nie! Byłem już zmęczony.

— Czy można pana zapytać, panie Hickory, jaki krok pan przybiera, kiedy się pan czuje zmęczonym?

— To zależy. Tym razem miałem szczęście napotkać dobrego konia.

— Konia?

— Tak, panie adwokacie. Wskoczyłem do wózka, który jechał dosyć szybko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z tygodnia.

Petycya Polaków z Litwy.

Do Rady Stanu wpłynęła z Wilna i prowincyi następująca petycya, opatrzona kilku tysiącami podpisów:

„My, Polacy, obywatele Wilna i wschodnich połaci dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, odczuwamy głęboką krzywdę, jaka się dzieje krajowi naszemu przez odcięcie go od ziem Królestwa Polskiego obostrzeniami natury polityczno-administracyjnej, oraz przez wyłączenie wszystkich terytoryów, zaokupowanych przez wojska niemieckie, a poddanych Głównemu Dowództwu na Wschodzie, to jest Litwy i Suwalszczyzny, z obrębu ziem, objętych aktem 5-go listopada 1916 roku. Kraj nasz i ludność, zamieszkująca go, ma wspólną z Królestwem przeszłość, wspólną naturę, wspólne związki krwi, wspólne interesy materyalne. Oprócz ludności rdzennej litewskiej i białoruskiej — znaczna część kraju naszego posiada większość również rdzennej ludności narodowo i kulturalnie polskiej, która swą przynależność do narodu polskiego stwierdziła tysiąckrotnymi dowodami w przeszłości, stwierdziła ją publicznie i w chwili obecnej w czasie spisów ludności, dokonanych w roku 1916 przez niemieckie władze okupacyjne. Najsroższy ucisk lat ubiegłych nie tylko wyplenić polskiego poczucia narodowego wśród ludności, za polską oddawna uznawanej, nie zdołał, lecz owszem obudził to poczucie wśród warstw szerokich, które otwarcie do narodowości polskiej, a nie do żadnej innej, się przyznają.

Żywiołowy rozwój szkolnictwa polskiego na ogromnym obszarze kraju, pomimo wszelkich napotykanych trudności, pomimo ogólnej biedy i wyczerpania, dał wymowny dowód istotnych tej ludności pragnień. Wilno, stolica kraju, nie tylko w przeszłości odgrywało wielką rolę w życiu narodu polskiego, jako kolebka jego przodowniczych duchów, ale i obecnie jest jednem z miast najbardziej i najszczerzej polskich i stanowi wielkie ogniwo odradzającego się polskiego życia narodowego. Stojąc na gruncie rzeczywistości, w głębokiem przekonaniu, że kraj nasz może się rozwijać pomyślnie jedynie w zjednoczeniu z Polską, zwracamy się do Wysokiej Rady z gorącą i usilną prośbą o jak najrychlejsze rozpoczęcie kroków, mających na celu włączenie go do Państwa Polskiego".

Biskup Cieplak z powodu rewolucyi rosyjskiej.

Ks biskup-administrator archidyecezyi mohylewskiej i dyecezyi mińskiej wydał do duchowieństwa następującą odezwę:

„Do Duchowieństwa Archidyecezyi Mohylewskiej i Dyecezyi Mińskiej.

Po długich latach niewoli Rosya wstępuje na nową drogę, która zapowiada krajowi wolność, pomyślność i rozkwit. Stara władza odeszła, ustępując miejsca utworzonemu za sprawą Izby Państwowej Rządowi Tymczasowemu, uznanemu przez kraj cały i cieszącemu się zaufaniem.

Nakreślony przez Rząd Tymczasowy program jego działalności zapowiada przeprowadzenie amnestyi politycznej i religijnej, urzeczywistnienie wolności sumienia, słowa, zebrań i związków, wypracowanie formy rządu i konstytucyi państwa, uchylenie ograniczeń stanowych, narodowościowych i wyznaniowych. Radość i zapał wszystkich synów Rosyi z powodu tego, co się dokonywa, szczerze podzielają miliony katolików, zamieszkałych w Rosyi.

Zajaśniała i dla nas zorza wolności, spadają nareszcie pęta, co nas dotąd krępowały, otrzymamy nareszcie prawa pełnych obywateli państwa, których tak długo byliśmy pozbawieni.

W chwili wiekopomnej, jaką przeżywamy obecnie, wzywam Duchowieństwo rzymsko-katolickie obojga dyecezyi i wszystkich katolików do uległości względem Rządu Tymczasowego, do skupienia się w zgodnej pracy dla ogólnego dobra i do wzniesienia gorących modłów do Najwyższego o pomoc i światło z góry dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla tych, którym przypadło w udziale poprowadzić Rosyę na nowe tory.

Odezwa niniejsza ma być ogłoszoną ludowi w kościołach i kaplicach w pierwszy po otrzymaniu dzień niedzielny lub świąteczny i tegoż dnia ma być odprawione nabożeństwo w porządku następującym: po Mszy św. odśpiewane zostaną suplikacye „Święty Boże", „Pod Twoją obronę" i wreszcie udzielone będzie błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Dan w Piotrogrodzie, dnia 4. marca 1917 roku.
Jan Biskup".

* * *

Jednocześnie ks. biskup-administrator wystosował do prezesa rosyjskiej Dumy państwowej list następujący:

„Wielce Szanowny Michale Włodzimierzowiczu. W imieniu swojem, duchowieństwa rzymsko-katolickiego i wszystkich katolików witam serdecznie w osobie Pana Rząd Tymczasowy, utworzony za sprawą Dumy Państwowej. Zapewniam Pana, że my, katolicy, całkowicie ulegamy Rządowi Tymczasowemu. Szczerze podzielamy radość wielkiego bratniego narodu rosyjskiego, wstępującego na drogę wolności. Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że jedynie władza, opierająca się na zaufaniu narodu, może poprowadzić Rosyę na drodze właściwej do zupełnego odnowienia jej ustroju i jej życia.

Żywimy niepłonną nadzieję, że Rząd Tymczasowy, nakreśliwszy w programie swoim wzniosłe hasło urzeczywistnienia wolności ludu i zapowiedziawszy amnestyę polityczną i religijną, wolność sumienia, słowa, zebrań i związków, uchylenie ograniczeń wyznaniowych i narodowościowych, uwolni nareszcie nękany przy dawnym porządku Kościół rzymsko-katolicki od krępujących go ograniczeń; katolicy zaś, bez różnicy narodowości, uzyskawszy istotną wolność wyznawania swej wiary, ze zdwojoną usilnością wezmą się do pracy dla ogólnego dobra narodowego, zaniósłszy wespół z duchowieństwem i ludem błagania do Boga o błogosławieństwo dla wielkiego dzieła przebudowania ziemi rosyjskiej na nowych podstawach".

Kierenskij o niepodległości Polski.

„Echo Polskie", wychodzące w Moskwie, podaje następujące informacye o inauguracyjnem posiedzeniu Polskiego Klubu Demokratycznego w Moskwie, na którem obecnym był także minister sprawiedliwości Kierenskij:

Zebranie to odbyło się w lokalach wydawnictwa „Echa Polskiego", zagaił je A. Lednicki. Mowca scharakteryzował znaczenie obecnej chwili dziejowej w stosunku do Polski, którą wszyscy chcemy widzieć wolną, zjednoczoną i niepodległą. Polska zdobywa sobie miejsce w świecie, opartym na wolności ludów. Porównywując Polskę obecną z Polską przeszłości, stawia mowca jako zasadę: najszerszą demokratyzacyę. Zasadą naszą będzie w Polsce równouprawnienie wszystkich narodów, których synowie żyć będą na naszej ziemi. poszanowanie ich odrębności, zupełne równouprawnienie, bez różnicy pochodzenia, wyznania i płci. Kobiety w tej wojnie wykazały niewątpliwie, że mogą być w prawach zrównane.

W dyskusyi, jaka się potem wywiązała, zabierało głos bardzo wielu uczestników. Podkreślić należy przemówienie mecenasa Zielińskiego, który powiedział:

„O Polsce nie powinna decydować konstytuanta rosyjska, również i Polacy nie są uprawnieni do przyjmowania udziału w decyzyach o wewnętrznem życiu Rosyi. Przedewszystkiem jesteśmy obywatelami Polski".

Gdy zjawił się na wiecu minister Kierenskij, powitała go ogłuszająca burza oklasków. Minister odpowiedział na owacyę:

„Żałuję, że nie znam języka polskiego. Chętnie mówiłbym do Panów po polsku. Moje stanowisko w sprawie polskiej jest niezmienne.

Uważam niepodległość Polski za konieczny warunek zgodnego współżycia dwu bratnich narodów, z których żaden nie będzie przewodził nad drugim. Zawsze będę dbał o potrzeby Polaków w Rosyi. O potrzebach tych i o pragnieniach pragnę wiedzieć jak najwięcej. Proszę więc przyjaciela mego, Aleksandra Lednickiego, aby informował mnie jak najdokładniej".

Żegnany owacyjnie, A. Kierenskij opuścił zgromadzenie polskiego Klubu Demokratycznego po 15-to minutowej obecności.

Zniesienie paragrafu językowego w Niemczech.

Niemiecka Rada związkowa usunęła resztę ustawy o Jezuitach, której część zniesiono już w roku 1904, jak również przychyliła się do uchwalonego przez Sejm Rzeszy w roku 1911 zniesienia § 12 ust. Rzeszy o stowarzyszeniach, tak zwanego paragrafu językowego. Wobec tego w przyszłości na zgromadzeniach publicznych wolno będzie przemawiać także językiem nieniemieckim.

Telegram Ukraińców do ks. Lwowa.

„Dziennik Petrogradzki" donosi:

Grupa ukraińskich działaczów społecznych zwróciła się do księcia Lwowa z następującą depeszą:

„Powołując się na proklamowane przez nowy rząd zasady wolności politycznej, narodowej i wyznaniowej i dążąc do równouprawnienia społecznego i kulturalno-politycznego z Wielkorosyanami w jedności państwowej, prosimy o natychmiastowe zwolnienie z więzienia i zesłania Ukraińców i Galicyan, zesłanych z rozporządzenia hrabiego Bobrinskiego za czasów, gdy on był generał-gubernatorem Galicyi, według denuncyacyi i list proskrypcyjnych tak zwanych moskalofilów, tworzących obecnie w Rostowie nad Donem „Radę Rusi Przykarpackiej". — Występna działalność hr. Bobrinskiego doprowadziła do tego, że tysiące intelligencyi rozstrzelano, a jeszcze więcej zginęło w więzieniach i na Syberyi. Prasę zniszczono. Działacze ukraińscy proszą o uwolnienie wszystkich aresztowanych, przerwanie zbrodniczej działalności władyków Eulogiusza, Antoniusza i Witaliusza i monasteru Poczajowskiego, którzy trudnią się przymusowem nawracaniem unitów na prawosławie, a także o natychmiastowe aresztowanie hr. Bobrinskiego".

O Śląsk Cieszyński.

Młodzież akademicka we Lwowie wystosowała na ręce prezesa Koła polskiego memoryał, zakończony następującą rezolucyą:

„Wobec niepokojących pogłosek, że na wypadek wyodrębnienia Galicyi, Śląsk polski zostanie oddany wówczas na łaskę i niełaskę — niemniej wobec niczem nieuzasadnionych żądań Niemców, wyłączenia miasta Białej z okolicą, a nawet księstw oświęcimskiego i zatorskiego z Galicyi — młodzież polska, stojąc na gruncie niepodzielności ziem polskich i ożywiona wiarą niedalekiej już wolności i niepodległości Polski, protestuje uroczyście przeciw zakusom Niemców, wydzielenia Białej i sąsiednich powiatów Galicyi, a zarazem uchwala, co następuje:

Żądamy w imię naszych praw narodowych i w duchu życzeń ludności miejscowej włączenia Śląska cieszyńskiego, jako prastarej polskiej części Śląska, do ziem polskich, przez co także bezpodstawne pretensye Niemców do Białej z okolicą, tudzież do księstwa oświęcimskiego i zatorskiego staną się bezprzedmiotowemi. Zarazem przyłączamy się do protestu w tej sprawie uchwalonego na zjeździe wydziałów rad powiatowych i burmistrzów w Białej w dniu 2. kwietnia b. r."

Czytelnia Akademicka we Lwowie, Bratnia Pomoc słuch. wszechnicy lwowskiej. Bratnia Pomoc słuch. politechniki lwowskiej. Biblioteka słuch prawa. Koło medyków. Bratnia Pomoc słuch. medycyny weterynaryjnej we Lwowie. Bratnia Pomoc słuch. Akademii rolniczej w Dublanach. Związek słuch. inżynieryi. Koło mechaników słuch. politechniki.

Kronika tygodniowa.

Zaczynam, naturalnie, od pogody, w dalszym ciągu przyjdzie kolej, o ile *nota bene* starczy miejsca, i na politykę.

Mamy dziś, gdy to piszę, dwudziestego pierwszego kwietnia, wiosna więc powinna być już w pełni rozwoju, gdyż zbliża się „maj-królewicz“, któremu, jak chce poeta, powinien się kłaniać w pas las zielony. Tymczasem, zamiast tego mamy śnieg, a dla rozmaitości i błoto. Gdyby kogo wypuszczono n. p. z kryminału i powiedziano mu, że teraz wiosna, wyśmiałby się w oczy, aura bowiem tego rodzaju, jakiej nie powstydziłby się koniec listopada, według żadnego kalendarza nie zaliczającego się przecież do wiosny, W niniejszym numerze *Nowości illustrowanych* zamieszcza Redakcya obrazki, przedstawiające krakowskie plantacye w śniegowej szacie, jakiej im użyczyła „wojenna wiosna“, o ile nie ulegną one konfiskacie, będą dowodem ku wiecznej pamięci, że w tym wojennym czasie musieliśmy cierpieć nie tylko z powodu aprowizacyi, rekrutacyi i innych tego rodzaju spraw, ściśle z wojną związanych, ale także i z powodu aury, która, jak powiadają, jest „całkiem wojenna“.

Na dzień 20. kwietnia przypadają imieniny świętej Agnieszki, która według przysłowia powinna „wypuścić skowronka z mieszka“, wysypała przecież tylko śnieg, który powoli zamienia się na błoto. Skowronków nie słychać (boją się prawdopodobnie zakatarzenia!...), na plantacyach drą się natomiast w niebogłosy gawrony, niezadowolone, iż śnieg zasypuje im gniazda, które zaczęły już przygotowywać. Mają zresztą i inny słuszny powód do lamentów, a tym jest zupełny brak zieloności, więc i liści na drzewach, wobec czego ich „domowe ogniska“ nie ujdą oku magistrackich siepaczy, wysyłanych corocznie w celu przepędzenia za miasto tych niezbyt sympatycznych „śpiewaków“, nie troszczących się wcale o otrzymanie pozwolenia na stały pobyt w mieście.

Rolnicy i ogrodnicy także w kłopocie, nie tyle z powodu, iż wyginą pędraki, gąsienice i tym podobne robactwo, wobec czego nie będą mieli do czynienia tyle, co po inne lata, ile raczej z tej przyczyny, iż w polu i ogrodzie absolutnie pracować jeszcze nie można, wobec czego wszystko ulegnie w tym roku spóźnieniu. Żniwa przesunięte być muszą przynajmniej na październik, zbiór zaś ziemniaków chyba aż na grudzień, a, co za tem idzie, przednowek trwać będzie przez rok cały. Ci, którzy ziemniaki zasadzili, martwią się, iż skutkiem opadów śniegowych ulegną zmarznięciu, dobrze więc uczynili niezuani sprawcy, wykradając z pola już zasadzone, uchronili je bowiem od zniszczenia, czyli, że pisma codzienne nie powinny się były o to gniewać, ale owszem krok ten, jako racyonalny, pochwalić.

Ale trudno! Teraz wojna, a w czasie wojny wszystko idzie opakiem, jeżeli już nie całkiem do góry nogami. Powiadają znawcy naszych stosunków atmosferycznych, że to jeszcze nie koniec, że możemy się spodziewać dalszych opadów śniegowych, wobec czego byłoby lekkomyślnością nie do darowania, gdyby ktoś chciał się teraz pozbyć futra lub innego ciepłego okrycia. Na dobitek brak węgli i drzewa (surogatów ich jeszcze nie wynaleziono!), brak też nafty i świec, *eo ipso* i pobyt przy domowem ognisku nie należy do przyjemności, gdyż zamiast w nie dmuchać, musi człowiek chuchać w ręce z powodu zimna.

W obserwatoryum astronomicznem, które zajmuje się także i meteorologią, informowałem się, gdzie szukać przyczyny tych kłopotów. Odpowiedziano mi, iż prawdopodobnie niebieskiego referenta do pogody zabrano do wojska, a miejsce jego zajął ktoś, kto nie jest biegłym w tym fachu i, zamiast kurka z ciepłem, wiosennem powietrzem, odkręca stale kurek od rezerwoaru śniegowego. A może pan ów myśli sobie: „Brak wam czego innego, miejcie bodaj dość śniegu!“... Jeśli jest tego zdania, to muszę mu w swem i innych imieniu powiedzieć, iż powinien dać już spokój, bo śniegu i błota mamy zanadto, a „co zanadto, to niezdrowo“, tak znów uczyli nas ojcowie, a to samo przypomina i fizykat miejski. „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie“... tak śpiewał natchniony poeta, wiedząc, że gdy się w dziurawych butach (a kto ich dziś nie ma!...) chodzi po śniegu i błocie, łatwo się można zakatarzyć, potem zaś nabawić i innych przypadłości, które mogą zaprowadzić tam, skąd się już nie wraca, a gdzie nikt nie chciałby znaleźć się tak rychło.

Umyślnie poświęcam pogodzie (raczej niepogodzie!...) tyle miejsca, a to tylko z tego powodu, iż mam nadzieję, iż się ona zmieni i we czwartek, gdy *Nowości ilustrowane* ze swymi „wiosenno-zimowymi“ obrazkami pojawią się w mieście, będziemy mieć już prawdziwie wiosenną pogodę i zieloność, do której każdy tak wzdycha, bo fałszem jest, jakoby kolor zielony był, ze względu na zawartość arszeniku, dla zdrowia szkodliwym. Tej zasady trzymał się tylko dawny zarząd plantacyi i ogrodów miejskich i dlatego tak niezmordowanie wycinał drzewa, gdzie się tylko dało. Ale to należy już do przeszłości, teraźniejszość jest inna, a przyszłość, oby była jeszcze lepszą...

Zanim od pogody przejdę do polityki, kilka słów poświęcić muszę wypadkowi, który na kilka dni kazał nam zapomnieć o pogodzie, polityce i wojnie, a kto zresztą wie, czy z niemi nie miał także pewnego związku. Zwłaszcza z pogodą. Mam na myśli morderstwo, jakiego na osobie handlarza skór, Fleissiga, dopuścił się niemowa Kowalski, który, jak śledztwo wykazało, chciał koniecznie mieć skórzaną kurtkę, chroniącą go od zimna i wilgoci, a w żaden sposób nie mógł o nią dobić targu.

Kraków jest spokojnem miastem, nic też dziwnego, że tego rodzaju incydent wytrącił go bodaj na chwilę z zwykłej równowagi. Wszystko inne schodzi wówczas z porządku dziennego, o tem tylko mówi się i pisze, przypominając sobie równocześnie podobne wypadki z przed lat, których sprawców albo już wykryto, albo jest się na ich tropie. Zwłaszcza piękny listek do laurowego wieńca zasług zdobyła sobie policyjna suka, Aida, która okazała się zupełnie godną zaufania, jakie w niej pokłada społeczeństwo krakowskie i pięknej nazwy, którą nosi. Być może, że nazwanie jej tem imieniem uzna ktoś znowu za profanacyę dzieła wielkiego mistrza tonów. jak to było wówczas, gdy gniewano się na zarząd kina, który ją wyświetlił (operę, nie sukę!... przyp. zecera) i na kapelmistrza, iż skomponował, a raczej przykroił do niej muzyczkę. Ale tamto się nie udało, w tym zaś wypadku czworonożna Aida spisała się „jak się patrzy“ i naprawiła dawne błędy, jeśli kiedykolwiek jakie popełniła, o ile bowiem wiem, pędziła dotąd żywot bardzo cnotliwy i nie nadużyła nigdy swego urzędowego charakteru. Jednem słowem, krakowska policya może być dumną z takiego dzielnego współpracownika, raczej współpracowniczki, której też słusznie należy się pochlebna wzmianka kronikarska w myśl zasady, że „nie należy kryć światła pod korcem“.

Kronikarz *Nowości illustrowanych* ma zresztą to do siebie, iż ze względu na stan, rodzaj, zatrudnienie, wiek, płeć, liczbę odnóży i t. d., oddaje wszelakim stworzeniom słuszność, o ile na to zasługują. Nie mają więc racyi ci, którzy się na Redakcyę gniewają, iż, dajmy na to, nie zamieściła portretu czyjegoś, z takiej lub owakiej okazyi, choć ów osobnik jest nawet prenumeratorem i to „regularnie płacącym“. Nie zawsze jednak można to uczynić, gdybyśmy bowiem chcieli n. p. pomieścić na łamach naszego pisma portrety wszystkich osób, w jakikolwiek sposób w czasie obecnej wojny odznaczonych, musielibyśmy skwitować z innego, aktualnego materyału, a i tak zabrakłoby nam miejsca, by wszystkich zadowolić. Umieszczamy, to prawda, także podobizny osób, które prenumeratorami naszymi nie są, ale tylko w nadzwyczajnych, na publikacyę zasługujących wypadkach, trudno bowiem nie dać portretu n. p. pana Wilsona lub Poincarégo tylko z tego powodu, iż ani jeden, ani drugi prenumeratorem *Nowości illustrowanych* nie jest, choć nie wątpię, iż byłby nim, gdyby umiał po polsku.

Nie wchodzą tu więc w rachubę względy polityczne, albo jakieś inne, przyczyna, dla której się to dzieje, nazywa się po prostu „fizyczną niemożliwością“.

Z nią ma też do walczenia bardzo często i kronikarz, a dzieje się to zawsze wówczas, gdy politykę odłoży na koniec swej pracy, a tymczasem z rozpaczą widzi, że miejsca brak, a arkusz, choć ku latu cieplej się robi, w żaden sposób nie chce się rozszerzyć. By mnie to i dziś nie spotkało, zabieram się więc do rzeczy, choć, dzięki właśnie owej niepogodzie, o której wyżej mowa, nie mam wcale do tego ochoty. Cóż jednak robić, skoro obowiązek kronikarski tego wymaga, a i P. T. Czytelnicy chcieliby bodaj od czasu do czasu zakosztować polityki, podlanej „kronikarskim sosem“.

A zbliżają się czasy, jakby powiedział zawodowy polityk, w nieobliczalne następstwa brzemienne, co znów, przetłumaczone na język kronikarski, brzmieć powinno „i nikt nie wie, co w trawie piszczy“. Choć się jednak nie wie, można o tem pisać i to tem barwniej i swobodniej, nie potrzebuje się bowiem człek krępować zdaniami innych.

W pierwszym więc rzędzie zaglądnąć musimy na podwórko sąsiada, to jest do Rosyi, skąd nie możemy się jakoś doczekać wiadomości pozytywnej o odebrym pokoju. Słyszymy wprawdzie o rewolucyi, kontrrewolucyi, nowych represyach, kłótniach ministrów, ochocie do dalszej wojny, tendencyach pokojowych, ale to wszystko razem składa się na polityczny bigos, który trudno strawić, a jeszcze trudniej zrozumieć. Jeden z przywódców powiada, że Rosya nie pragnie żadnych zdobyczy, drugi woła, że musi się zabrać Konstantynopol i otworzyć Bosfor, wobec tego zaś, iż i jeden i drugi ma swych zwolenników, robi się rozgardyasz, w którym trudno się wyznać. Czy Rosya będzie nadal cesarstwem, czy zamieni się na republikę, lub też szereg republik, tego dziś nikt nie wie, faktem jest przecież, iż głosi publicznie rząd prowizoryczny, że zgadza się na niepodległość Polski, ale pod pewnemi zastrzeżeniami. Czy nie są to tylko czcze obietnice, i tego przewidzieć nie można, w każdym razie mamy przecież tę moralną satysfakcyę, iż nareszcie przypomniano sobie w świecie, że Polska żyje i żyć musi i mówi i pisze się o niej nawet więcej, niż nie tak dawno temu n. p. o Malissorach i Mirydytach, nad których losem bolała cała Europa w czasie zamieszek albańskich... Także i inne państwa koalicyi nie zapominają o nas, jak to widzimy z warunków pokojowych, podanych przez *Progrès de Lyon*. Czytamy tam, że warunki te brzmieć mogłyby w ten sposób: 1) Zrzeczenie się wszelkich zdobyczy. 2) Niezawisłość Polski. 3) Umiędzynarodowienie Konstantynopola i cieśniny dardanelskiej. 4) Organizacya sojuszu wszystkich narodów z sądem rozjemczym.

To jedno jest pewnem, że wojna już się wszystkim sprzykrzyła, czy biorą w niej udział, czy też są naprawdę neutralni i że konferencya socyalistów w Sztokholmie zamierza na seryo zająć się sprawę pokoju i, jak powiadają, z pewnością znajdzie do tego podstawy — jeżeli się da różnice między samymi socyalistami różnych narodów w jakiś sposób pokonać.

Ba, ale czy się da?... Między socyalistami, zwłaszcza z państw, należących do koalicyi, wielu jest zwolennikami wojny i tych chce zmobilizować ententa, aby sparaliżować usiłowania w celu zwołania międzynarodowego pokojowego kongresu.

Zwłaszcza wojowniczo usposobieni są socyaliści angielscy, a staliby się nimi jeszcze bardziej, gdyby sprawdziła się senzacyjna pogłoska, iż król Jerzy ma zamiar abdykować, ażeby przez to ułatwić połączenie się całego światowego imperyum brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych w celu prowadzenia dalszej walki aż do skutku. To zaś nie przemawia bynajmniej za rychłym końcem wojny.

Ale od czegóż są różne niespodzianki? Może akurat król Jerzy złoży koronę i wraz z kuzynem Mikołajem rosyjskim wyjedzie na polowanie na krokodyle, a dyktator Wilson powie: Koniec!... i basta. To się jednak chyba nie stanie, bo inaczej usposobionym jest i pan Wilson i pan Lloyd George, który dał temu wyraz w swej mowie, wygłoszonej w Klubie amerykańskim, witając w Stanach Zjednoczonych nowych towarzyszy broni. Na ich cześć spalił tyle kadzideł, że aż boli głowa! Powiedział między innemi: „Udział Ameryki we wojnie nadaje jej cechy wojny demokracyi przeciw panowaniu militaryzmu nad światem. Obecna wojna jest walką o wolność i tylko dla takiej walki można było pozyskać Amerykę, gdyż Stany Zjednoczone zawsze tylko takie wojny prowadziły!... Teraz Ameryka pozwoli nam wygrać bitwę pod Arras! Bierze ona w niej udział, gdyż dostarczyła nam amunicyi, maszyn i stali... Dwa fakty potwierdzają, że obecna wojna jest wojną o wolność, mianowicie udział Stanów Zjednoczonych we wojnie i rewolucya rosyjska... Droga do zwycięstwa może być znaleziona tylko w jednem słowie: „Okręty, jeszcze raz okręty i po raz trzeci okręty“. (Coś, niczem trzy słowa: „Gessler, Altvater, Jägerndorf“...) Wojna będzie zwycięska, ale jeszcze ważniejszem jest to, że powstanie z niej dobroczynny pokój“...

Lloyd George mówi wogóle dużo i tak, jak każdy polityk, to jest w ten sposób, jak mu najwygodniej, im zaś więcej w oracyi fajerwerków, tem dla słuchaczy, zwłaszcza tych, którzy go nie rozumieją, radość większa. A telegraf roznosi potem po świecie słowa angielskiego męża stanu, mniej lub więcej przekręcone i przykrojone według potrzeby i w ten sposób tworzy się tak zwana wielka polityka, na której zwykły śmiertelnik, zdrowo i po chłopsku myślący, wyznać się nie potrafi.

I tacy ludzie trzęsą dziś światem i gardłują za prowadzeniem wojny dla wolności... ale interesu. Na wiosnę zieleni się wszystko, może przecież i im zazieleni się raz w głowie i przyjdą do przekonania, że nie nonsensem, ale wprost zbrodnią wobec społeczeństwa jest parcie do dalszego prowadzenia wojny, zamiast dążenia do jej końca, zwłaszcza, jeżeli, według warunków pokoju, wrócić mielibyśmy *in statum, quo ante*.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył R. Malczenc, Sosnowiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie.

Le –
l – n
– wa
a – e
ya –
m – ś
– as
k – ń
lo –
e – a

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kobieto! Umyj knot kata!

Zagadka kryształowa.

Ułożył P., Lubaczów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko nadzwyczaj popularnego dziś u nas kapłana-filantropa.

```
                □
            — □ —
        — — □ — —
    — — — □ — — —
  — — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
  — — — — □ — — — —
    — — — □ — — —
        — — □ — —
            — □ —
                □
```

Znaczenie wyrazów: 1 Samogłoska. 2 Utwór poetycki. 3. Miasto na Śląsku. 4 Dwa pierwiastki, znane w lecznictwie. 5 Sprzymierzeniec. 6 Szukane wyrazy. 7 Miasto na Węgrzech. 8 Ptak z rodziny pływaków. 9. Część mszy świętej. 10. Wykrzyknik. 11. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Szukaj lodu z baszt Huna.

Grzebieniówka.

Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i pierwszą literę imienia polskiego poety i uczestnika powstania styczniowego

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej monopol. 2 Miasto w Niemczech 3 Utwór muzyczny 4. Rysunek tytułowy. 5 Instrument muzyczny. 6. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Na łące jeleń za sokołem stoi. Czart, cent, czyn

Szarada.

Ułożył H M., Kraków.

Pierwsze, w muzyce ton, stopień gamy,
Trzecie-drugie plecione z łyka lub rogoży,
Kiedy zaś *cały wyraz* przeczytamy,
Z historyi znane imię się złoży.
Miała je kiedyś piękna kobieta,
Córka sławnego tak Mahometa.

Łamigłówka literacka.

Ułożył A. Inwalida, Gross Ullersdorf

Początkowe litery dzieł wymienionych pisarzy, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza.

Kaczkowski?
Tetmajer?
Adamowicz?
Sieroszewski?
Kraszewski?
Gomulicki?
Morawska?
Jeż?
Czajkowski?
Konczyński?
Orzeszkowa?
Rodziewicz?
Reymont?
Krasiński?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I wuj mył na brzegu kąty. E, e!

Bilety wizytowe.

Ułożył H. M., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwę kraju, który dany osobnik zamieszkuje:

JAZON DYON. NEST. ZEC.

RYSZ. JAC AWA.

Ż. BELA TUNDYS

AL MET. WAGA.

ZEN E. ULEWA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Maurycego Mycielskiego*: **Irena.** Powieść na tle wypadków roku 1914.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 15.

Logogryf: Zawój, Małże, Atlas, Remiz, Tężec, Wąwóz, Yanke, Chłop, Hasło, Wasyl, Sępes, Tumak, Aluta, Neron, Ijoki, Elite, Pegaz, Awołg, Nesbl, Sedan, Kolię, Ideał, Enbea

Łamigłówka: Ośm, Ems, ind, gad, gnu, los, era, sęk, kot, aga, lew, lek, Pac, Men, miś, ara, sou, kos

Szarada: Kochanie.

Okienko:

```
O k i e n k o
k   l     l
i   i     i
e l i z y u m
n     i   p
k     u   i
o l i m p i a
```

Rozsypane litery: Głos ludu, głos Boga.

Zadanie do przestawienia: Mała szkoda, krótki żal.

Zadanie do przestawienia: Kto nie jest hardy, nie czuje wzgardy.

Bilety wizytowe: Subdyakon. Dentystka. Chórzystka. Wiśniaczka. Koniuszy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Kączmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga. S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Budnarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń L Kozubski Wiedeń, E Winter Tarnów, E. Bogdalska Koropuż, B Książek Miejsce Piastowe.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Radoszewski, Sucha.** — Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Warszawa — Wołyniowi. Wydawnictwo zbiorowe na powiększenie funduszu przy Głównym Komitecie Ratunkowym dla wysiedleńców wołyńskich. Wydawca: Michał Podlewski, Skład główny — księgarnia Gebethnera i Wolffa. Administracya: Warszawa, Szpitalna, 9.

Książka zbiorowa, wydana na cel dobroczynny, jako dowód solidarności stolicy Polski z jedną z prowincyi dawnej Rzeczypospolitej. Na treść jej złożyły się pióra tej miary, co prof. T. Korzona. Wł. St. Reymonta, K. Łozińskiej, Sienkiewicza hr. Włodzimierza Czetwertyńskiego, A. Kranshara, J. Młodeckiego, hr. Rogera Łubieńskiego, prof. I. Radlińskiego, A. Nowaczyńskiego, Z. Dołęgi. hr. Maryi Morsztynowej, Cecylii Walewskiej, hr. Maryi Walewskiej i wielu innych, dając całość, zasługującą na rzetelne uznanie. Bardzo obficie jest też reprezentowaną i poezya. Znajdujemy tu utwory: A. Langego, Miriama, A. Pileckiego, J. Orwicza, M G. ·arskiego, N. hr. Lubomirskiej, A. Marylskiego i t. d.

Nader bogata w treść i zajmująca książka, wydana też i pod względem typograficznym bardzo starannie, liczy stron 176 *in octavo*. Siła rzeźwego ducha zapowiedź przedmowy bijąca z kart całego wydawnictwa, mówi o pełnej żywotności trosce narodu, idącego w lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Maurycy Mycielski: **Irena.** Powieść na tle wypadków roku 1914. Lwów 1917. raków G. Gebethner i Sp. Warszawa Gebethner i Wolff. Wykonano w Zakładzie drukarskim „Grafia" Lwów.

Temat aktualny, opracowany bardzo starannie i z rutyną, akcya żywa oto zalety nowej publikacyi, którą z zajęciem musi przeczytać każdy, kto przeżył czasy najazdu rosyjskiego na nasz kraj, gdyż właśnie tutaj, na naszej ziemi, przeważnie w Galicyi wschodniej, rozgrywa się cała akcya.

Tarcze Legionów 1914 – 1917. Kraków 1917. Departament Organizacyjny N. K. N. Wydało Centralne Biuro Wydawnicze N K. N. Opracował i przedmową zaopatrzył Mieczysław Opałek. Okładka rysunku A. S. Procajłowicza. Drukarnia Ludowa.

Obok „rycerzy w zbroi" powstały i tarcze dla ulżenia doli nieprzeliczonych zastępów ofiar wojennej tragedyi. U podnóża Tatr wbito pierwsze gwoździe, sporządzono ów pierwszy w kraju naszym symbol, a zarazem widoczny znak ofiarności publicznej na wzniosłe cele. Za przykładem Nowego Targu poszły i inne miejscowości galicyjskie, mniejsze i większe, zapał i zainteresowanie, z jakiem ogół je przyjął, zachęcał do tworzenia coraz to nowszych. W przeciągu roku powstało ich 63. Lwią część wykonano w Krakowie pod dozorem Departamentu N. K. N., inne siłami miejscowych rzeźbiarzy za wiedzą jednak i przy pomocy Departamentu. Całości wydawnictwa dopełniają podobizny tarcz, wykonane nad wyraz starannie na papierze kredowym.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu, Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego